



95941 *Mss. St. Dr.*

95947 P



95941 95947

po-
ze
wo-
smę
am-
dor.
na-
mu-

K O B I E T Y,
JAKICH MAŁO NA SWIECIE
C Z Y L I
C N O T A N A D G R O D Z O N A
D R A M A
W E T R Z E C H A K T A C H
Przez Michała Bonczę Tomaszewskiego
N A P I S A N E.

Zmocnią sławę Synowie, i osadę Miasta,
Nadto jednak coś więcej: poczcąwa Niewiašta.

Eccles: C. 40. V. 19.



W W I L N I E
w Drukarni XX. Bazylii w Roku 1799.

BIBLIOTHECA
UNIV.  IAGELL.
CRACOVENSIS

95 345

I

C
m
w
sz
zn
jes
ni
by
cy

DO
JAŚNIE WIELMOŻNEGO
ALEXANDRA
HRABI
CHODKIEWICZA
STAROSCICA ZMUDZKIEGO.

Jaśnie Wielmożny Panie!

*O*fiara, którą niosę Jaśnie Wielmożnemu Panu, jest jedna z pierwiastkowych owoców pracy moiej: szczęśliwym się będę sądził, jeżeli znajdzie tak łaskawe przyjęcie, jak jest życzenie moje w przysłużeniu się nią Jaśnie Wielmożn. Panu, gdyby bowiem tyle było w moiej mocy, ile czuję chęci, zebrałbym Mu
na

na ofiarę owoce naydóyrzalsze: ale
zna to każdy, iż dosyć ten czyni,
kto czyni to, co może. Ja zaś prze-
konany jestem, iż kim rządzą wspa-
niałość, cnota i inne znakomite przy-
mioty, ten żadną czystą nie pogar-
dza daniną. Mam więc nadzieję,
iż ta, którą ja teraz składam u nóg
Jego, będzie nayłaskawiej przyjęta

Jaśnie Wielmożnego Pana
i Dobrodzieia!

nayniższy sługa

M. B. Tomaszewski

K O B I E T Y,
JAKICH MAŁO NA SWIECIE
C Z Y L I
CNOTA NADGRODZONA

OSOBY

LOTARY Pułkownik.

D' ARTUR Baronowa Siostra Pułkownika.

LUDWIK Porucznik Syn Pułkownika.

FANI Panna bogata z Holandyi.

MURER Guwernerka Fani.

KAROLINA Wychowanka Pułkownika,
Córka Murer.

DORAS Prezydent Sądowy Oyciec Karoliny.

ALBERT Choraży, Wychowanek Pułkownika.

GIERYCHT kochający Karolinę.

VICE-PREZYDENT.

KONSYLJARZE.

SEKRETARZ Sądowy.

LORENS Lokaj Fani.

MACIEY Woźnica Fani.

GAMACZ Lokaj Pułkownika.

BRYFTREGIER.

INSTYGATOR i sześciu Żołnierzy.

SCENA w NIEMCZECH

w Mieście Oldenburgu, w Domu Lotarego.



AKT PIERWSZY

Teatr okazuje przedpokoy, w którym drzwi
czworo.

SCENA I.

ALBERT *Siedząc oparty na Stole, po
krótkim milczeniu spogląda na okna.*

Doczekalem się przecie dnia.... a
dnia nayokropnieyszego w życiu
moim. Dziś ten dom będzie oddany łakomemu Lichwiarzowi..... Dziś ten
dobroczynny Człowiek wyzuty będzie
ze swego majątku... Gdzież się ja obró-
cę.... O Lotary!... znaydzieszże Ty te-
raz gdzie sam schronienie... Ach bardzo
wątpię. Tyś nie odmawiał nikomu wspar-
cia, a teraz sam onego będziesz potrzebo-
wał, *przechodzi się*. Po cóżes mnie odebrał
z Regimentu? Gdybym był tam służył do
tych czas, nie widząc tego, co się dziś
z tobą stanie, mniey byłbym zmartwio-
ny.... Gdzież się obróciem nieszczę-
śliwi.... Baronowa jest Pani Miłosierna,
ale

ale będzie mogła (ile będąc miernego
majątku) utrzymać nas wszystkich?....
Tak.... Ja Im muszę uczynić ulgę, mu-
szę odstąpić.... odstąpić?.. ale! będę
mógł żyć bez ulubioney Karoliny?...
Nie... trzeba raczey pozostać... O Lo-
tary! gdyby nie Ty, możebym do tych
czas zostawał w stanie najnędzniej-
szym. Wychowałeś mię: dałeś mi Edu-
kacyą przyzwoitą: czymże Ci się teraz
za to wypłacę? Ach! chyba pracą rąk
moich, ile w tym czasie, kiedy jey po-
trzebuiesz.

SCENA II.

ALBERT, MURER, LORENS.

ALBERT *sposstrzegając wchodzącą Mu-
rer, która mu się kłania.*

Czegoż to chce tak rano ta Pani?

MURER.

Mospanie! za pozwoleniem. Czy to
jest dóm Pana Lotarego Pułkownika?

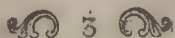
ALBERT.

Ten sam Mościa Dobrodziko.

MURER.

Stoi tu więc i Pani D^a Artur Baro-
nowa?

AL-



ALBERT.

Oto są jey pokoje; ale jeszcze musi spać, ponieważ służący nie widać. Niech się Pani na tey Sali trochę zatrzyma, spodziewam się, że nie długo wstanie. *na stronie*: Pójdę ten ostatni raz obejrzeć luby mój ogródek, te drzewa, którem wszczepiał własnymi rękami, pójdę pożegnać się z niemi na zawsze *odchodzi*.

MURER.

Ten Oficer widzi się być bardzo niepokojnym.

LORENS.

Zwyczajnie: każdy stan ma swoje umartwienie.

MURER.

Prawda, ale twoje, spodziewam się, że się dziś skończy. W tym domu jest Pan- na Fani, za najpierwszym obaczeniem się, powiem jey, ażeby twoje zasługi oddała i będziesz sobie wolnym.

LORENS *na stronie*.

Tam do diabła, wkorałemże teraz.

MURER.

No! idź sobie, zaczekam tu sama. Ju-
żem

żem znalazła to mieszkanie, którego szukałam; obedydę się bez ciebie.

LORENS.

Jak to? Pani chcesz sama zostać w nieznanym miejscu?

MURER.

Zkądże ta gorliwość? nie dawno leżdziem cię uprosiła, żeś ze mną poszedł, a i to całą drogę burząc pod nosem. Mówiłeś mi, że już nie chcesz dłużej służyć u twojej Pani: że ci się uprzykrzyła. Więc przyłożę się...

LORENS.

Ach nie Pani! nie czyn tego. Daruj nieuniarkowaniu memu, wyznaię teraz mój błąd, i przyrzekam, że odtąd nigdy Pani podobnych słów z ust moich nie usłyszysz.

MURER.

Człowieku nieuważny! komużbyś to twoją krnobrańnością zaszkodził, pomiar-kuy się, czy nie sam sobie. Y mógłżebyś to ponieść spokojnie? mógłżebyś oddalić się od tey, z którą w jednym miejscu rośles? Twoja Pani ile jest tak dobrą, byłaby bez służącego?... ale ty czy-
byś

byś
na cz
staie?
tobie
Prawo
niena
tak p

W
moie
to jel
im d
byłaś,
gdyby
ze S
skrap
poten
ka pr
nia.

No
wnie
da, l
jakim

Be

bys tak łatwo dostał podobną służbę?
na czymże ci tu zbywa? czego niedo-
staie? któryby Pan miał tak wielkie w
tobie zaufanie, jakie ma Panna Aryng?
Prawda, że prawowanie się twoie jest
nienaganne, ale czyby gdzie indziej
tak prędko poznali się na tobie?

LORENS.

Wszystko prawda. Ach Pani! jeżeli
moje sprawowanie się jest dobre, Tobia
to jestem winien, wychowany pod two-
im dozorem: drugą mi prawie Matką
byłaś, Ach gdyby nie Pan nieboszczyk,
gdyby nie Oyciec moiej Pani wziął mnie
ze Szpitala, byłbym może do tych czas
skrapiał gdzie chleba kawałek krwawym
potem. A gdyby nie W. Pani Dobrodzi-
ka przyłożyła się do mego wychowa-
nia.

MURER.

No! dość już tego, Przypominanie da-
wniejszych rzeczy na nic się nie przy-
da, staray się lepiej być takim zawsze,
jakim byłeś do tych czas.

LORENS.

Będę... będę się starał być takim.
Da-

Daruy mi tylko Pani... daruy tę popędlivość.

MURER.

Przebaczam ci łatwo; gdyż to jest pierwszy błąd, któryś popełnił. Jednak życzylabym, żeby był ostatni... Ale powiedz mi, co to cię w tak zły humor wprowadziło?

LORENS.

Nic więcej Mościa Dobrodziko, jak tylko ten tak nagły nasz wyjazd z Baden... dwanaście mil, całą noc jechać, tak mi dokuczyło, że małam nie pęknąć ze złości. Powiedz mi W. Pani Dobrod: co to jest tak nagłego? nigdyśmy nie mieli zwyczaju jeździć po nocy, zawsze zawczasu stawaliśmy na nocleg, a późno wyjeżdżali. Przyznam się W. Pani Dobrod: że jak mnie nieprzyzwyczajonemu, do nocnej jazdy, na najmniejszy szelest listka, włosy na głowie powstały, ile jeszcze wioząc tyle pieniędzy, z którymi i tak prawie więzienie ucierpiałem tam, gdzieśmy pojazd reparowali: całe trzy tygodnie i dzień i noc z koczami niewyłącznie pilnując ich.

MURER.

Ależ tak długo jedną oś reparować?

LO-



LORENS.

Pani myślisz, że na wsi tak łatwo o
Rzemieslnika, Maciey wszystkie Konie
pohasał, nim go dostał. Ale już to się sta-
ło, powiedź mi też Pani przyczynę tak
nagłego wyjazdu?

MURER.

Ja sama nie wiem, lecz musi być ko-
nieczna jakaś tego potrzeba. Gdyż Pan-
na Fani umyslnego posłańca po mnie
przyśłała, i zaleciła w Liście, ażebym
koniecznie jak najraniej dziś tu stała..
Lecz cóż to jest? tak długo się tu ba-
wiamy, a nikt nie wychodzi? nie po-
trzebnie tu czekam. To jest pokoy Ba-
ronowey mogę więc śmiało weyść do
niego. A ty się tu zatrzymay, *chce od-
chodzić.*

LORENS.

Mościa Dobrodziko, Mościa Dobro-
dziko!

MURER.

Czegoż jeszcze chcesz?

LORENS.

Nie wspominay W. Pani Dobrodzika
o naszej rozmowie nie przed Panią.
MU.

Ta proźba mnie obraża... nie znalazze mnie jeszcze dotąd? *odchodzi do pokoju Baronowey.*

SCENA III.

LORENS (*sam*)

Mogę jey wierzyć bez najmniejszey bojaźni; nigdy nie rada oskarżać, owszem pokrywa, jeżeli czasem w czym się człowiek potknie... Dobrze, że się postrzegł, byłbym popełnił głupstwo największe w świecie oddalając się od nich. Ależ ta Pani Murer, tak mnie swemi uwagami przeniknęła i wzruszyła, że jak żaden Spowiednik na mnie tego nie dokazał... Wiedział Pan mój, komu powiedzieć córkę swoją... Szkoda, że sam nie żyje... Cóż to za uciecha jego była, kiedy przyjechał z Indyi, po przywitaniu się z nami, spótyrzał na córkę, i rzekł z płaczem: „żywy Portret żony moiey”, a obróciwszy się do Pani Murer, mówił: „WPani zaś pilność dokaże tego, że i serce będzie miała Matczyne.. Nie zawiódł się na tym; bo w samey rzeczy, ukształciła nam tak Panienkę, że kto ją wi-

widzi, kochać ją koniecznie musi, a kto-
by zaś znał tak, jak ja i Murer jey chara-
kter duszy, pełen uszanowania, poświęcił-
by całe życie na jey usługi... Ale co wi-
dzą Murer tak prędko powraca, czy nie
zabłądziła czasem?

SCENA IV.

MURER, LORENS.

MURER.

Nie przechodziłże się kto tu, Lorens?

LORENS.

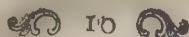
Nie...

MURER.

Panna Fani przykazała, ażeby jey stan
jak można pokrywać. Idź więc do Ma-
cieja, ostrzeż go, ażeby się przed kim
czasem nie wymówił.

LORENS.

Próżna bojazń względem Macieja, gdyż
on koni nie odstąpi, a potym Pani wiesz,
że to ztąd daleko. Nikt się więc dowie-
dzieć nie może... Ale jeżeliby się kto
pytał, czyie jesteśmy, dokąd iedziemy,
zkad?... co mamy na to powiedzieć?
MU-



MURER.

Powiedzieć zwyczajnie jak dawniej, że jesteście moi ludzie, że jestem uboga, że Fani jest moją córką, w reszcie powiedźcie to, co się wam podobać będzie... No śpiesz się, a powracaj nazad, może będziesz na co potrzebny. (*Lorens odchodzi.*)

S C E N A V.

MURER.

Co się to ma znaczyć, Fani tak pomieszana?... gra tu służącey rolę, może?... Ale mogę być o nią spokojna... o gdybym z innych miar podobnie spokojną być mogła... O Lors!... o D'Orli!... dla czegoż o tobie wiarołomco zapomnieć nie mogę? dla czegoż w ciągu lat dwódziestu twój obraz w umysle wyryty noszę? kocham cię dotąd niegodny Małżonku, a ty... może się natrząsaś z tego... Ale nie... nie podobno, ażeby twoje sumnienie mogło być spokojne?... Dzięki Opatrzności, że mnie przeznaczyło za Dozorczynę u tej miłej Familii. Cieszę się z wychowania ciebie kochana Fani, cieszę się choć

nie

nie
czczy
dałaś
gdyb
ła. C
nie d
mię
nadt
łości
zeli
że ta
mysl
ta si
wzru
(*ślad*
ia...
swoic
go..
ca i
bione
Dorli
kiedy
Nie..
łabym

Ni

nie swoim owocem. Cieszę się tylko
czczym tytułem Matki, który ty mi na-
dałaś... O jakżeby mi był wtedy miły!
gdybym go od własnego dziecka słysza-
ła. O Dorli!... Dorli! cożes uczynił?
nie dość, żeś mię opuściłeś, nie dość, że
mię zostawiłeś bez sposobu do życia, ale
nadto ofierociłeś mię z lubego owocu mi-
łości moiej, z ulubioney mi Klaryfisy. Je-
żeli żyje, jest w wieku miłości, a mo-
że łaknąca chleba kawałka... Ach! ta
myśl w rozpacz mnie wprawia!.. (*chwy-
ta się za piersi*) Co to jest?.. z kąd to
wzruszenie tak nagłe?.. Ach! słabieję...
(*siada na krzesło*) Klaryfiso! Córkę mo-
ją... zdaie mi się, iż cię widzę u nóg
swoich, że cię przyciskam do serca me-
go... ale nie... precz ode mnie mamią-
ca imaginacyo, nie odbieray mi ulu-
bioney spokojności (*porywa się*) o
Dorli! Mężu wiarołomny, gdybym cię
kiedykolwiek znalazła, .. zemsta moja...
Nie... nie zniosłabym tego... darowa-
łabym wszystko.

SCENA VI.

FANI, MURER.

F A N I.

Nie masz już Lorensa?

B

MU.

MURER.

Już poszedł. Ale kazałam mu nazad powracać, może być na co potrzebny.

F A N I.

Nie widziałże tu kto WPani Dobrodziki?

MURER.

Prócz młodego Oficiera, którego zastałam w tey sali, i który za moim przyściem wyszedł temi drzwiami: nikt więcej.

F A N I *na stronie.*

Syn Pana Pułkownika slyszałam, że gadał na sali, więc musiał to być Albert.

MURER.

Powiedz mi WPanna, dla czego tak nagle kazałaś mi przyjeżdżać?

F A N I.

Mościa Dobrodziko, oto, że... Lecz co widzę, WPani Dobrodzika płakałaś? Jakaż tego jest przyczyna? Ach kochana Matko! nie tay nic przede mną. Możem cię w czym obraziła? może?... powiedz mi, co chcesz? czego żadaś? a masz mię całą na usługi twoie.

MURER.

MURER.

To nadto. Mościa Pauno Dobre to serce WPanny...

F A N I.

Któreś WPani Dobrodzika przez swój pilny dozor starałaś się jak 'naylepiey uformować. Ach naymilsza Matko! dozwól mi się tak nazywać, póki ci Bóg życia pozwoli; dozwól mi odśługiwać te prace, któreś poniosła w wychowaniu moim. A jeżeli w czym błądzę? oświeć mnie! kieruj mną podług woli twoiey, a ja na krok jeden od twoich prawideł nie odstąpię. Łaskawa Dobrodziko, proszę! powiedź mi, co cię w tak wielki smutek wprawia, może moje postępowanie?..

MURER.

Które jest w niczym nienaganné.

F A N I. *klęka.*

O kochano Matko! nie tay nic przede mną, oto mię masz u nóg twoich, gdyż te WPani Dobr: obojętne wyrazy, wrospacz mię wprawiaią.

MURER.

Wstań... Kochana córko, nie przed tobą taic nie będę; ale ponieważ mi sama

Bz na-

nadałaś prawo Matki, i ofiarowałaś swoje posłuszeństwo, spodziewam się, iż mi pierwey odkryjiesz tajemnicę tak nagłego tu mnie sprowadzenia?

F A N I.

Jużbyś W Pani Dobrodzika była o tym uwiadomiona, gdybym na jej twarzy nie była spostrzegła tak nadzwyczajney odmiany.

MURER.

Słucham.¹

F A N I.

Sprowadzenia tak nagłego W Pani Dobrodziki nie więcey nie jest powodem, jak tylko nieszczęśliwa sytuacya Familii tu mieszkającej. Ten Dóm jest dziedziczny Pana Lotarego Pułkownika brata Pani D' Artur. Kredytor otrzymał na niego Dekret, i dziś ma nastąpić exekucya onego. Jeśli więc o godzinie dwónastey nie odda pieniędzy, .. ach biedny!

MURER.

Cóż więc?

F A N I.

Będzie się musiał na zawsze pożegnać nie tylko z domem, ale nawet z całą swoją ruchomością.

MU-

MURER.

WPanna się nad niemi litujesz? bardzo pięknie, jest to znak dobrej duszy ubolewać nad cudzym nieszczęściem.

FANI.

A jeżeli można, to i zapobiedz onemu. Są to maxymy WPani Dobr: któreś mi od dzieciństwa w grunt serca mego wpajała.

MURER.

Już wszystko rozumiem. Jak wielka jest ta summa?

FANI.

Jak mi mówiła Baronowa D' Artur, wynosząca więcej nad dzieśnięć tysięcy talarow.

MURER.

To jest trochę za wiele.

FANI.

Dla kogo inzego, ale jak dla mnie, nie wiele uszczerbku przyniesie. Bo na cóż mi się zdadzą pieniądze tak wielkie, które z sobą woziemy? na co te, które leżą na banku? jeżeli ich nie będzie mogła do niczego użyć. Dzieśnięć tysięcy

sięcy talarów, znaku nawet nie uczynią w moim kapitale, jest to pół procentu rocznego mego dochodu, a te cnotliwą Familią, wyrwą z tak wielkiego upadku.

MURER.

Nie ganię tego Wpannie, i owszem jesteś Panią swego majątku, możesz z nim postąpić, jak ci się podoba. Ale dając tak wielką sumę, czy nie będziesz ze swego czasu tego żałowała?

FANI.

Nigdy. Y dla czegoż? jest to miłośnierny uczynek, który mi podobne ukontentowanie przyniesie, jakiego doznawała Lady Killing, wykupując dwie Papugi z niewoli u jednego Kupca. Słyszałam ją mówiącą: „nie żałuję tych „sto dukatow com zapłaciła, ponieważ „za nie zrobiłam wolność tym biednym „ptałczyńom. „

MURER.

Cieszę się z tego, iż bierzesz przykład z takowego uczynku. Lecz Lady Killing nie warta, aby ją naśladowano. Dniem bowiem pierwiej, był u niej jeden niewolnik osadzony za długi, które więcej nie wynosiły, nad czerw: złot: pię-

piędziesiąt. Prosił ją o wspomnienie, lecz
ta, zamięłała podania ręki podupadłemu;
odwróciła się z miną pełną wzdargy.
Jakże więc sądzisz o tym?

F A N I.

A to wcale niesprawiedliwie. Łożyć
pieniądze na uwolnienie niemego pta-
ka, a nie mieć uczucia nad biednym sta-
nem podobnego sobie Jęstestwa: to nie
dobrze. Ale czemużem ja o tym wte-
dy nie wiedziała? byłabym natychmiast...

M U R E R.

Uczyliam to sama. Gdyż mając w
gotowiznie tę sumę, nie dopuściłam mu
dłużej cierpieć niewoli.

F A N I.

Ach kochana Pani! jakżeś szczęśliwa!
nigdy cię za to błogosławić nie przesta-
nie ten biedny. Więc pozwalaś WPani
na to, ażebym opłaciła Kredytora Pana
Pułkownika?

M U R E R.

Już mówiłam, że jesteś Panią swego
maiątku, możesz robić, co się ci podoba.
Ale kiedy tak myślisz, to niepotrzebnie
odeślałam Lorensa. Trzeba mu było ka-
zać

zać lepiej przynieść pieniądze. Więc taką rzeczą już po naszym sekrecie?

F A N I.

Nie... nie Mościa Dobrodziko! owszem chcę, ażeby jak można to taić.

M U R E R.

Cóż to jest za tajemnica? wcale tego poiąć nie mogę. Tu chcesz, ażeby stan WPanny utaić. W tym samym mieyscu chcesz dać tak wielkie pieniądze? to się wcale jedno z drugim nie zgadza.

F A N I.

Mościa Dobrodziko! przyznam się jey, iż od niejakiego czasu, poznaię wielką w sobie odmianę. Mój wesoły humor i spokojność, здаie się, iż już mię odstąpiły. Ich zaś mieysce zajął smutek i melancholia, która mię ustawicznie trapi.

M U R E R.

Musi być tego jakaś właściwa przyczyna?

F A N I.

Dotąd nie miałam nic takiego, cobym tała WPani Dobrodzice. Miałabym teraz?.. Ach!

M U.

MURER.

Cóż to jest?.. rumienisz się? łzy ci w oczach stoją? domyslałam się wszystko... Musi tu więc być ktoś?.. który?.. wszak zgadłam.

FANI.

Tak jest Mościa Dobrodziko, tak w samej rzeczy...

MURER.

Więc WPanna kochasz się? No... czegoś się płonisz? nie masz to w tym nic złego. Zda mi się, iż ten, którego serce WPańny obralo, musi być godzien kochania?

FANI.

Nie inaczej Mościa Dobrodziko... tak jest... wszystko jey wyznam szczerze. W ciągu bowiem dwóch tygodni dostrzegłam w nim wszelkie te przymioty, o których mi WPani Dobrodzika często namieniałaś, zda mi się, iż go natura najsłodszyemi powabami ubogaciła, które zniewoliły serce moje: talia piękna, wdzięki uymujące, w oczach jego żywość i powolność się mieści, uczucia tkliwe, bojaźni pełne, które więcej u mnie ważą, niżeli wyniosły umysł. Nie zby-

zbywa mu na niczym, prócz na bogactwach, które podług zdania WPań nic nie znaczą.

MURER.

Jeżeli ma serce nieskażone i Szlachetność dufzy?

FANI

Wszystko się to w nim widzieć zdaie.

MURER.

Jeśli tak jest, winszuję WPannie takowego wyboru. Ale ktoż to jest taki?

FANI.

Syn Pana Pułkownika, a Synowiec Baronowej.

MURER.

Brawo! Więc WPanna jak widzę czy-
nisz Cnotę z potrzeby?

FANI.

Nie Mościa Dobrodziko. Znaś WPa-
ni Dobrodzika mój sposób myślenia, że
jest wcale stronny od tego.

MURER.

Przynajmniej, że się jedno przy drugim
znayduie. Ale czy on też kocha WPan-
nę?

nę? 'b
ieśa, b
bowiem
by niez
ła zaś
zdrady

Nie
wam si
cu, ja

Jeste

Zup
wszyscy
nę; po
łam się
mego
okazy
uszano
często
gam,
jeżeli
mną,
szanie
wa ub
im Sy

nę? 'bo ten stan któryś na siebie przy-
 iela, bardzo jest niebezpieczny. Młodzi
 bowiem Panowie zwykli okazywać ni-
 by niezmyśloną miłość ku Pokoiowkom,
 ta zaś Miłość może bydź czasem pełna
 zdrady.

F A N I.

Nie Mościa Dobrodziko, nie spodzie-
 wam się, ażeby w jego nieskazanym ser-
 cu, jaka podłość mogła się mieścić?

M U R E R.

Jesteśże o tym przekonana?

F A N I.

Zupełnie. Za przyjazdem naszym,
 wszyscy w nim wielką obaczyli odmia-
 nę; poznawałam to po części, lecz uczy-
 łałam się, jakbyń tego nie znała, i mimo
 mego stanu, w jakim mię teraz sądzą,
 okazywał ku mnie największy Affekt i
 ufzanowanie. Zapatrywał się na mnie
 często, lecz gdy widział, iż to spostrze-
 gam, spuszczał Oczy i rumienił się. A
 jeżeli mu się przyszło kiedy spotkać ze
 mną, postrzegłam po nim jakieś pomie-
 szanie. Dnia jednego, gdy się Barono-
 wa ubierała, wszczęła Rozmowę o swo-
 im Synowcu, i wyliczała mi jego przy-
 mio-

mioty. Wreście oświadczyła, iż gdyby nie odmiana tak nagle tego Domu, odważyłby się prosić o Rękę Moją.

MURER.

Cóż WPanna na to?

FANI.

Odpowiedziałam. Gdybym była równo przynajmniej urodzeniu Pana Ludwika, mogłabym łatwo temu wierzyć. Nie dała mi reszty domówić Baronowa, i rzekła: że gdyby jej Synowiec barziej prze-
nosił bogactwa i urodzenie nad cnotę i piękność; jeszcze w Regimencie byłby się ożenił, dodała i to, że i Pan Pułkownik mocnoby sobie życzył mieć za mnie Synowę, a w końcu pytała się, czybym zezwoliła na zameście? co ja zostawiłam do woli WPani Dobrodzici.

MURER.

Samże nie oświadczył ci się z swoją miłością?

FANI.

Jednego wieczora, gdy mię napotkał w ogrodzie, wziął moją rękę i rzekł: „Kochana Fani wartaś losu nierównie lepszego, niż ten, w którym zostaiesz. Gdybym

bym m
ciebie
me życ
ty: nie
nia się z
samym
ment z
mnie m
życiu.
to odp
mówią
rękę, u
Mogę z
stały
jeszcze
jego m
jest też
ubogę

Jesli
zycze
teczni

Ach
poiać
iemu w
Męża
dzoneg
te. . .

byłbym mógł mieć sposob na utrzymanie
 ciebie przyzwoite, poświęciłbym całe
 me życie na usługi twoje. Lecz niestety:
 nie mam żadney nadziei podźwignienia
 się z upadku tobie wiadomego, a tym
 samym nie śmiem cię prosić o rękę,
 moment zaś rozstania się z tobą, będzie dla
 mnie momentem najnieszczęśliwszym w
 życiu. „ Sama nie wiedziałam, co mu na
 to odpowiedzieć, i stałam moment nie
 mówiąc i słowa. On zaś całując moją
 rękę, urosił ją łzami i spiesźnie odszedł.
 Mogęż więc jeszcze powątpiwać o jego
 stałej dla mnie przyjaźni? Mogęż się
 jeszcze wahać? Nie Mościa Dobrodziko!
 Jego miłość wcale nie jest zmyślona, nie
 jest też i interesowana; bo kocha tylko
 ubogą służącą.

M U R E R.

Jesli tak jest, jak mi WPanna mówisz,
 życzę W. Pannie projekt swój uskutecznić.

F A N I.

Ach Mościa Dobrodziko! nie mogę się
 pojąć z radości. Możeż co szczęściu mo-
 iemu wyrównać? Będę się zapatrywać na
 Męża kochającego mnie, Oycę oswobo-
 dzonego, Małżeństwo przysposobie, któ-
 re. . .

MU.

MURER.

Cóż to WPanna mówisz, co za Małżeństwo?

FANI.

Zapomniałam WPani Dobrodzice powiedzieć, że Siostra Pana Ludwika jest na wydaniu, czekają tylko ukończenia interesów domowych

MURER.

Mąż jey narzeczony, jestże mądry?

FANI.

Jest to wychowanek Pana Pułkownika. Oycieć jego był znacznym Człowiekiem, który przez nieszczęście podupadł. Możnaż mieć większe ukontentowanie nad te, które mnie spotyka? Znaydować się w gronie Familii przeiętej wdzięcznością. A naywiększąby jednak miała rokosz w tym, iż ta, która wraziła w mój umysł wyobrażenie prawdziwey szczęśliwości, jest od wszystkich szanowaną (całuję w rękę) Sądzę że WPani Dobr: nie będzie zupełnie szczęśliwą?

MURER przyciskając Fani.

Będiesz nią! będziesz szczęśliwą ko-

chana

chana
ści m
umart

Co
czyć

Nie
mie t
ta wia
zamy
czony
iający
sliwz
gień
pożer

Zm
mie v

Bar
wiedz
ści, z
ką ży
licach
zernie

chana Fani, ty jedyny Owocu staranno-
ści moiej, ty osładzasz w tym sercu to
umartwienie, które.

F A N I.

Co za umartwienie? cóż to mają zna-
czyć te łzy? Ach Matko moja.

M U R E R.

Nic to .. Nic moje Dziecie! słuchaj
mnie tylko cierpliwie, właśnie ci teraz
ta wiadomość jest także potrzebna, gdyż
zamyslasz o stanie, który jeżeli jest złą-
czony z serc nieskażonych i niepodpada-
jących odmianie, jest stanem najszczę-
śliwszym, lecz jeżeli inaczej, jest to o-
gień piekielny, który przez całe życie
pożera spokojność umysłu.

F A N I.

Zmiłuj się WPani Dobrodzika chciej
mnie w tym oświecić.

M U R E R.

Barzo dobrze. Więc trzeba WPannie
wiedzieć przyczynę mych niespokojno-
ści, zatem opowiem jey historią krot-
ką życia moiego. Urodziłam się w Oko-
licach Roterdamu. Rodzice moi byli mi-
sernego majątku, tak, że im czasem
zby-

zbywało na potrzebach domowych. Było nas Dzieci kilkoro, starszych pooddawano na służbę, ja dostałam się do jedney cnotliwej Pani, która barzieszy zatrudniała się wychowaniem moim, a niż patrzała sobie winney usługi. W ciągu mego u niey zostawania, bywał jeden, którego Imienia nie chcę wymienić: pokochał mnie, i ja, nie uwiadomiwszy o tym moich Rodziców, słubowałam mu wiarę Matżeńską. Lecz nie wyszło roku naszego pożycia, aż Mąż mój rozkochał się w jakieysf swawolney Kobiecie; (bo tak mogę mówić: gdyż żadna cnotliwa nie odważy się czynić niesnasek w Matzeństwie) powiłam mu Córkę, jedyny cel miłości moiey, kochał ją okrutny Oyciec, ale kochał na większe udręczenie jey Matki. W rok po urodzeniu się moiey Klarysy, gdym ją od Pierśi odłączyła, wstałam jednego poranku i podług zwyczaju idę ją odwiedzić, aż nieśtety nie zostałam jey, pytam służących, gdzieby się podziela, te mi powiadaia, że mój Mąż zabrawszy cały swój majątek, co miał w pieniądzach, kleynotach, co większa, mój najmilszy kleynot, Córkę moją, moją Klarysę! (placze) z tą Kobietą w nocy wyiechał, przykazawszy

wprzód

wprz
tym
bym
chan
wted

O
ment
mysl
z te
będę
ki mi
twiel
ni, j

St
wani
próż
miej
Sprz
się w
dota
do R
pyta
moie
meg
wą
stała

wprzód surowo Rużącym, ażeby mię o tym nie wazyli się uwiadamiać, aż nim-bym się obudziła... Wystaw sobie kochana Fani, w jakim stanie zostawałam wtedy?

F A N I.

O niegodny!... taki wstępnego momentu uczułam do Małżeństwa, że nie myślę więcej o zamęściu. Uciekamy z tego miejsca kochana Matko... Ja będę się starała Córki WPani Dobrodzi-ki miejsce zastąpić i osłodzić jej to umartwienie. Ale pierwiej powiedz mi WPani, jak się potym obróciłaś?

M U R E R.

Straciłam kilka miesięcy na wywiady-waniu się o nim, lecz widząc, iż się na próżno badam, umyśliłam opuścić to miejsce, które dla mnie było nieznośne. Sprzedawszy pozostały sprzęt, puściłam się w drogę pod tym Imieniem, jakim się dotąd nazywam. Szczęściem dostałam się do Rodziców WPanny, a gdy byłam za-pytaną od nich o przyczynę podróży moiej, chcąc pokryć występki Męża mego; uczyniłam się przed niemi Wdową, szukającą sposobu do życia. Zo-stałam od nich przyjeta na rezyden-
cyą

cyą, było to blisko sześć miesięcy
przed narodzeniem się WPanny, Matka
WPanny wydawszy ją na świat, sa-
ma się z nim pożegnała. Zostałaś tedy
z woli Ojca pod moim dozorem. Jleż
niewylałam łez piastując ją na rękach.
Ach! (ociera łzy) wychowaniem WPan-
ny zatrudniona; bawiłam się fałszywą
imaginacją, lecz nie oszukałam się na
niey, gdyż w mym sercu od dawna za-
stąpiłaś mey Córki miejsce. Co na od-
jazd złąd, to jeszcze nie pozwolę, (na-
stronie) Nie wiem, jakaś mię moc nad-
zwyczajna pociąga do tego domu, co
za dziwne wyobrażenie marzy mi się w
oczach, o Klarysso, o Córko moja! cóż
to jest, iż dziś ułtawicznie staiesz mi w
mysli.

FANI *ociera łzy, eczy.*

Jakże ją żal trapi, o nieszczęśliwa!

MURER.

Ta historya niech ci bynajmniej nie
czyni wstępu do Małżeństwa, na prze-
ciwko tey jedney opowiedziałabym ci
tyśiąc wcale różnych, a na czele tych
przywiódłabym najszczęśliwsze i naj-
zgodniejszy Małżeństwo jey Rodziców,
gdybyś o nim tyle razy nie słyszała.

FA-

Oddając się zupełnie pod rząd WPani i
 słuchając jej rad, wiem, że w niczym nie
 pogrądzę... Ale co widzę, Baronowa
 nadchodzi.

SCENA VII.

BARONOWA, MURER, FANI.

BARONOWA.

Cóż to, Pani Murer u nas? a to żąd
 się wzięło? WPani nas miałaś czekać w
 Baden (do Fani) ale i WPanny swa-
 wola nie uwiadomić mnie o tym. Żąd
 zaś te ceremonie stać przed pokojem,
 właśnie jakbyś nie była naszą przyja-
 ciółką, to mi się wcale nie podoba, mo-
 żebym ja trochę i poburzała, ale zosła-
 wię to na potym, do Murer: No, jakżeś
 się WPani małż? ozdrowiałaśże cokol-
 wiek, a jej ręka ztluczona?

MURER.

Jeszcze mię trochę dolega, spodzi-
 ewam się jednak, że wkrótce będę zupeł-
 nie zdrową.

BARONOWA.

Ale po co było przyjeżdżaćś wiedz
 Ca WPa-

WPani o tym, że ja z całą Familią mo-
ią wybieram się do Baden. A gdzież
jest pojazd WPani?

MURER.

Zostawiłam go w Oberży zaraz przy
Bramie, gdyż warta przy niey będąca,
nie chciała nas przepuścić do Miasta.

BARONOWA.

Taki jest w tym Mieście zwyczaj, że
bez biletu nikogo ani do Miasta ani z
Miasta nie wypuszczają. Y gdybyś była
zostawiwszy pojazd na przedmieściu, fa-
ma piechotą przez bramę przechodziła,
musiałabyś pierwiey odwiedzić kantor ex-
pedycyi, gdyż nawet tuteysi Obywatele
bez meldowania się, nie mogą przez bra-
mę przechodzić. Ale powiedź mi, co ja
tu przypędziło, ja myślałam, że WPani
nas będziecz czekać na mieyscu.

MURER.

Pojazd został zreparowany, Ja trochę
w lepszym zdrowiu, umysliłam więc w dal-
szą puścić się drogę.

BARONOWA.

A to pięknie (do Fani) Mościa Pan-
no, Ryszysz WaćPanna jakiego figla
chce

chce nam Imość wypłatać. WPanna ze-
zwalaśże na to?

FANI.

Powinnością moją jest Matce bydz po-
Ruszną.

BARONOWA.

Ależ dla Boga (*cicho.*) chceszże
WPanna w grob wpędzić biednego Lu-
dwika.

MURER.

Może WPanna chcesz się zostać?

BARONOWA.

Ale ani wątpić o tym, już trochę do
nas przywykła Lecz i ja proszę, nie
porzucay nas WPani Dobrodzika, mocno
ją sobie poważamy, chyba jeżeli masz ja-
ki pilny Interes, zatym

MURER.

Ja oddaie do Woli Fani.

BARONOWA.

A Moje Panie wcale was rozumieć nie
mogę. Córką jest posłuszna Matce, Mat-
ka oddaie do woli Córkę, Dali Bóg to
coś dziwnego. Przyznawam się WPani
kochana Pani Murer, iż odiazd WPani.

wię-

więcey by nam przyniośł umartwienia niż
utrata Kamienicy, którą dziś Tradować
maią.

SCENA VIII.

Ci sami i ALBERT.

ALBERT.

Mościa Dobrodziko, List od Pana Gie-
rycht. do Jegomości.

BARONOWA.

Zostaniesz go WPan w swoim Pokoju,
musi to być coś nowego (*Albert odcho-
dzi*) (*do Murer*) No jakże, zostaniesz
się u Nas WPani?..... przynajmniej choć
na parę Miesięcy.

MURER *do Fani.*

Cóż WPanna. na to?

FANI. (*do Baronowej*)

Łaskawa Pani! w przypadku Jey wia-
domym nigdziebyśmy podobno nie mie-
li schronienia, gdybyś WPani Dobro-
dzika Nas nie przyjęła. Na zawdzięcze-
nie Jey Dobrodziewstwa, spodziewam się
iż Pani zechce przyjąć nasze posłuszeń-
stwo.

BA-

BARONOWA.

Brawo! to mi się podoba, Pani Murer przyśtaie na to?

MURER.

z Duszy.

BARONOWA.

To dobrze, to dobrze! pomożesz nam WPani Dobrodzika dzwigać umartwienie, które nas czeka.

SCENA IX.

Ci sami i KAROLINA.

KAROLINA.

Mościa Dobrodziko, Jegomość prosi na Kawę, i tę Panią, która tu jest na Sali.

BARONOWA.

Alboż Brat Mój, wie już o tem, że jest Pani Murer?

KAROLINA.

Gdy się Jegomość pytał o WPanią Dobrodzikę, Pan Albert powiedział, iż tu z jakąś Panią rozmawiał.

BARONOWA.

Pierwiej jednak nim póydzziemy, przy-

wi-

witay się W Panna z tą Panią. Jest to
Matka tey Panienki.

KAROLINA.

Co!... to jest Matka Fani? o kocha-
na Przyjaciołko, jakżeś Szczęśliwa, ma-
iąc tak Szlachetną Matkę. Ach! nieste-
ty Jam mojej nie znała.

MURER.

Z Poruszeniem) Cóż to jest? Co się
to znaczy? ... Jakieś Serca drzenie?

KAROLINA.

Biegąc do Murer, całuje Rękę, i przy-
ciska do Pierśi.) Ach Mościa Dobrodzi-
ko, nie potrafię wyrazić, co Serce moje
czuje w tym momencie.

MURER.

Przyciskając) O kochane Dziecie, (na
stronie) O! Boże! dodaj mi siły... Jakież
okrutne Serca bicie. O! Klarysso... gdy-
bym w życiu moim mogła z tobą doznać
tey roskoszofzy!

BARONOWA.

Lecz moje Panie, tak się czule ścis-
cie, jakbyście się od dawna znali, i gdy-
bym nie była świadkiem wychowania
mojej Siostrzenicy, to bym Bóg wie, co
pomysliła.

FA.

FANI.

Na stronie) Co za widok uymuiący,
ale oraz ciężki dla ofierociałey Córki.

MURER.

Ach....

BARONOWA.

Cóż to jest? ... słabo ci widzę kochana
Przyjaciółko; może, że tak długo bez po-
silku; idźmy.

KAROLINA.

Ah! nie mogę się do woli nacieszyć.

BARONOWA.

No puszczayże; będziesz miała dość
czasu, Pani Murer przyrzekła u nas zo-
stać. chodźmy. *(odchodzą z Murer, któ-
ra pogląda czule na Karolinę, Karoli-
na też samo)*

SCENA X.

FANI, KAROLINA.

KAROLINA..

Prawdaż to jest kochana Fani, że zo-
stanie Matka WPanny przy nas?

FANI.

Nie inaczey.

KA-

KAROLINA.

Ach ta nowina o wszystkich nieszczę-
ściach zapominać każe, i kochana Fani
z nami zostanie, przynajmniej Pan Lu-
dwik będzie spokojnym, jak on WPan-
nę kocha, jak on lękał się odjazdu WPan-
ny.

FANI.

Mocno mię to cieszy, że mi się potra-
filam zaśluzyc.

KAROLINA.

Wszyscy WPannę kochamy, żebyś
WPanna wiedziała, jak ją Jegomość po-
waga? Ah! życzylibyśmy w szys y sob e,
ażebyś WPanna na zawsze została z na-
mi; wierz mi WPanna, byłabyś okraszą
naszey Familij, gdyby...

SCENA XI.

Ci i ALBERT.

ALBERT.

Moście Panny, Pani Baronowa prosi.

KAROLINA.

Idźmy kochana Fani.

FA-

FANI.

Ależ Pan Albert zdaje się dziś wcale
bydź nie spokojnym?

KAROLINA.

Co się to znaczy? Mości Panie, cze-
go WPan tak smutny?

ALBERT.

Nie to Mościa Dobrodziko, wcale nie.

KAROLINA.

Jak to nie, WPan się przedemną ukry-
wał?

ALBERT.

Nie, najmilsza Karolino, nigdy....

KAROLINA.

Ale jak to nie? dla czegoż WPan
niechcesz powiedzieć, co go tak trapi, co
go tak czyni niespokojnym?

ALBERT.

Mogęż nim bydź w ten dzień, w któ-
rym będę się patrzeć na Scenę dla mnie
nayokropnieyszą? Ah! kochana Karolino
wspomnienie nawet samo na to, wskrós
mię przeraża. Ten Dom, w którym się
zhodowałem, ten Dom.... Ah....

KA-

KAROLINA.

A fi ... cóż to mi WPan mówisz, będąc Żołnierzem, nie nauczyłeś się znosić wszelkich przeciwności, bierz więc przykład ze mnie, która tylko jestem Żołnierska Cóрка, a nic na to niedbam.

FANI.

Ale Mościa Dobrodziko prawdziwie pierwszy raz ją widzę w tak wesołym humorze.

KAROLINA.

Kochana Fani, jest to znak, że będę miała pewne umartwienie. Doświadczyłam bowiem tego nieraz, iż któregoś dnia rano byłam wesoła, zawsze dzień na płaczu skończyłam. Ale nie myśl WPan Mospanie Albert, ażeby tego miała być przyczyną Tradycya naszego Domu, nie, wcale się na to zawczasu przygotowałam,

ALBERT.

Inney zaś nie przewiduję.

KAROLINA.

Jedna godzina wiele może sprawić odmiany. Naprzykład: Ja dzisiaj wcale nie spodziewałam się być wesołą, aż w jednym

dnym
z Ma
konte
życiu

Co
u Jeg
brodz

Al
Ah j
za pi
się, i
zyde

D

T
Przy
kach
więc

Ja
nie
sam

dnym momencie... jedno poznanie się z Matką mojej Przyjaciółki, tyle mi ukontentowania przyniosło, ile w całym życiu moim nie doznawałam.

ALBERT.

Co słysz, ta Pani, która jest na Kawie u Jegomości, jest to Matka WPanny Dobrodziki?

KAROLINA.

Alboż to o tym WPan nie wiedziałeś; Ah jaka to miła Pani, jak Szlachetna, za pierwszym jej weyrzeniem zdałam mi się, iż równie ją kocham, jak Pana Prezydenta Doras.

ALBERT.

Doras? ...

KAROLINA.

Tak jest, cóż to WPana zadziwia? jest Przyjacielem naszego Domu, na jego Rękach prawie wychowałam się, nie dziw więc, że go kocham równie jak Oyca.

ALBERT.

Jakże? nie przeczuwałoż serce moje, nie miałemże przyczyny smutku, który sam niewiem, z kąd pochodził. Teraz

po-

poznaję, że byłem oszukanym. Ah! Karolino! zaślubiłemże na to, ażebyś mnie....

KAROLINA.

Cóż to jest? co W Pan mówisz, w czymże to W Pan byłeś oszukanym?

ALBERT.

Dość już Mościa Dobrodziko, Pani się tu bawisz, a Pani Baronowa czeka z Kawą.

FANI.

Pójdźmy Panno Karolino. Pan Albert wolniejszego czasu być nie mógł z tego wytłumaczyć, spodziewam się, iż to wcale w niewinney myśli powiedział.

KAROLINA.

Mospanie Albert, nie spodziewałam się tego, ażeby w sercu WPana nievśce miała zazdrość, ale teraz go zupełnie poznałam. Widzę, iż przywiązanie moje do Pana Doras, jest w podevrzeniu u WPana, nie taie się z tym, kocham go, i dla czegoż niemam kochać? wychowana na jego rękach, uprzedzał moje potrzeby, i czegom nie śmiała u Owca mego prosić, przez niego łatwo wszystko otrzymałam, wyznać więc muszę, że w wychowaniu moim drugim był prawie

Oy-

Oycem
wiązan
kiem,
łam, a
wcale p
winna
pierwe
iā mil
którą
czam,
prędze
świadc
sobie,

Ach

Nic
działan
niło, i

Moś
ment

Mów
czeka
żey b

Ka- Oycem. Nie mamże mę za to bydz obo-
 nie.... wiązana? Iam Waspan tego jesteś świad-
 kiem, Iam wiesz, iż go dawniey kocha-
 lam, aniżeli zaczęłam doznawać miłości
 zym- wcale różney od tey, którą jemu jestem
 winna Dla czegoż WPan widząc to
 pierwey, niż mi się oświadczyłeś z swo-
 ni się ją miłością, nie okazałeś tey zawiści,
 eka z którą teraz na nim postrzegam, a zare-
 czam, iż choć już kochałam W Pana,
 przedzeybym jednak odrzuciła jego o-
 świadczenie, aniżeli bym przewiodła na
 Al- sobie, nie kochać tego, który ...
 mógł
 się, iż
 dział.

ALBERT.

Ach! najmilsza Karolino. dopuść....

KAROLINA.

Nic, nic więcej nie słucham, przewi-
 działam moje umartwienie, o toż się speł-
 niło, idźmy kochana Przyjaciółko.

ALBERT.

Moscia Dobrodziko, chciey mnie mo-
 ment posłuchać.

KAROLINA.

Mówiłeś W Pan, że Pani Baronowa
 czeka na Kawę, nie mogę się więc dłu-
 żey bawić. (odchodzi.)

FA.

Oy-

FANI *do Alberta.*

Uspokoy się WPan, niech ją ominie
pierwszy zapęd pałsyi, a zaręczam, że
się pogodzicie. (*odchodzi*)

ALBERT, (*za odchodzącą.*)

Ah! Pani, wstaw się za mną, tyle jesteś
poważaną u całej Familii, że iedno jey
słowo, wszystko zrobić potrafi.

SCENA XII.

ALBERT potym sam LUDWIK.

A L B E R T.

Y potrzebaż mi jeszcze było przyda-
wać sobie umartwienia, potrzebaż mi
było ile w dniu dzisiejszym być powo-
dem jey niespokoyności.... Przyiść do
siebie nie mogę, sam niewiem zkąd mi się
wzięło mieć podeyrzenie o tym cnotli-
wym Starcu... Ah! gdyby się tylko on
o tym nie dowiedział... ale nie mam
się czego obawiać, żadnego tu świadka
nie było prócz Fani, o nią mogę być
spokoynym. Nie.... nie spodziewam się,
ażeby jey gniew trwał długo. Fani; ta
miła Panienka przeprosić ją potrafi, a
jeżeli by się nie dała przebłagać, wtedy
udam się do jey Brata, a ten u niey wiele
mo-

może...
mu wpr
wiem n

Co?

Ach!
dopom
wyszła
łem pra

Roz
buy się
w mor

Nie,
tu u n

Usp
większ

Cóż

Par

może.... ale otoż i on sam; ach wyznam
mu wprzódny mój występek, tak iest po-
wiem mu!....

LUDWIK. *Wchodząc.*

Co?

ALBERT.

Ach! Mospanie Ludwik, pódz WPan,
dopomoż mi przeprosić Pannę Karolinę,
wyszła ztąd rozniewana, a ja tego by-
łem przyczyną.

LUDWIK.

Rozgniewana? wielkie rzeczy, nie tur-
buy się nie jest ona stworzona do gniewu,
w moment ią ominie, zaręczam.

ALBERT.

Nie, Mospanie, chciałbym tego momen-
tu u nog jey wyznać...

LUDWIK.

Uspokoy się WPan, mam mu nierównie
większą donieść nowinę.

ALBERT.

Cóż takiego?

LUDWIK.

Pan Gierycht pisał do mego Oycy
D. w li-

w liście dzisiejszym, że odstępuje swoich pretensyi, i że ...

ALBERT.

Co ustępuje? Ach! ta nowina trochę mnie czyni spokojnym, ale mi się temu niechce łatwo wierzyć, boby to był ośmy cud świata.

LUDWIK.

Tak jest w samej rzeczy, ale to pod kondycją, zgadniesz jaką?

ALBERT.

Wcale się nie domyślam.

LUDWIK.

Oto w nadgrodzie czyli w zamianie tego, chce mieć Siostrę moją za Zonę.

ALBERT *Na stronie z wzdręgnięciem.*

Nieba! co ja słyszę?

LUDWIK *Na stronie.*

Jak się zmienił nieborak na tę nowinę, żal mi go prawdziwie.

ALBERT *Na stronie.*

Tegoż jeszcze niedostawało do mojego nieszczęścia?

LU-

No i

Ja ... t

Wcale
jest.... Ja

Ach! J

Cóż to

Wyzna
ie przy

Słucha

Przy
kiedy Oy

ze wszy
dekret, j

now. Po
gdzieby

tulenie,

LUDWIK.

No i cóż W Pan na to?

ALBERT.

Ja ... tak jest ... Ja... (*mysli*) Niewiem.

LUDWIK.

Wcale tego nie rozumiem... Ja... tak
jest... Ja... nie wiem. Cóż więcej?

ALBERT *Na stronie.*

Ach! Jakżem nieszczęśliwy.

LUDWIK.

Cóż to sam z sobą rozmawiał?

ALBERT.

Wyznać to muszę, co mi w tym momen-
cie przyszło do głowy ...

LUDWIK.

Słucham...

ALBERT.

Przypomnij W Pan sobie ten moment,
kiedy Oyciec Pana Gierycht, wyzwał nas
ze wszystkiego majątku, przez podobny
dekret, jaki ma teraz jego Syn na W Pa-
now. Po zniszczeniu się tak wielkim,
gdzieby moi Rodzice znaleźli byli przy-
tulenie, gdyby nie...

D2

LU.

LUDWIK.

Cóż to jest? Co Rodzice W Pana mają iść do tego listu... nic tego pojąć nie mogę.

ALBERT.

Gdyby tedy nie Ojciec W Pana Dobrodzieja, przyjął nas do siebie, wczoraj byśmy się byli obrócili? o to podobno....

LUDWIK.

Ale co to wszystko ma do pretensyj Pana Gierycht, powiedz mi W Pan krótko, bo o tym, co mi teraz W Pan mówisz, wiem już bardzo dawno.

ALBERT.

Prawda. Daruj mi W Pan, ta nowina podobno mi zmyślił pomieszała... Ależ Mości Dobrodzieju, wiesz W Pan Dobrodzieju i o tym dawno, iż Panna Karolina jest celem życia mego. Utrata onej śmierciąby się równała? lecz chętnie zniosę ten cios dla oswobodzenia tej Fanieli, która....

LUDWIK.

Dość tego, wszystko rozumiem. Ofiarę ta W Pana zależy od niego samego czy i od kogo więcej?... Wiem to, iż Pan

na Karol
WPan ja
ie zakład
Albert, w
piey bę
niech m
libym m
Siostrę u
tego, kt
utrata j
lecz Pan
nierówn
stradała
z tym,
miłość j
znałz,
znośny
by jey
wiekier
go cho
by jey
żebym
sze um
tego m
nie po
prawda
wali. Z
my sw
ko sa

na

na Karolina równie WPana kocha, jak WPan ją; mógłżekym oswobodzenie swoje zakładać na umartwieniu walżym? nie, Albert, wcale nie myśl o tym, niech lepiey będę wyzuty z mego dziedzictwa, niech mnie raczey śmierć spotka, aniżeli bym miał żyjąc w rokoszy, patrzeć na Siostrę ulubioną, a jęczącą pod jarzmem tego, którego nienawidzi ... Znam to iż utrata jey martwiłaby cię niezmiernie, lecz Pauna Karolina nie miałażby więcej nierównie umartwienia od WPana: postradałaby się lubey rokoszy życia z tym, którego kocha, i do którego miłość jey prawie z latami wzrastała. Sam znasz, iż to byłoby jey ciężarem nieznośnym, ależ nie równie większym, gdyby jey przyszło pędzić całe życie z człowiekiem, którego nienawidzi, i do którego choć najśrodszych rozkazow, bardzo by jey było ciężko przywykać. Y mógłżekym ja żyć spokojnie, patrząc na wasze umartwienie? Nie Mołpanie, nigdy tego nie uczynię. Słuchay mnie WPan, nie pod jednym dachem rodziliśmy się, to prawda, aleśmy się pod jednym wychowali. Żyimy tylko cnotliwie, nie fundujemy swego szczęścia na upadku nie tylko samych siebie, ale nawet naymizerniey.

nieyszego człeka, kochaymy się nieodmiennie, a naycięższe ubóstwo dokuczyć nam nie potrafi.

ALBERT.

Łaskawy Dobrodzieju, życie mi przywracasz, lecz pozwolisz mi sobie przełożyć jedną uwagę?

LUDWIK.

Jakąż to, przecie? słucham.

ALBERT.

Ach niestety! roztanie się nasze z Panną Karoliną prędzey czy późnieny, koniecznie nastąpić musi.

LUDWIK.

A toż dla czego? nie kochaszże ją WPan?

ALBERT.

Bardziey nad życie swoje, lecz kochając ją, mogę ją pograżać w nędzę tę, w której sam będę przymuszony zostawać. Panna Karolina jest Dama godnego urodzenia, ma przymioty swoiey płci przyzwoite, wychowana w wygodach... może zatym...

LU-

WPan
ma z

Nie
mam j
znam

Do
stołow

Wia
sobu, a
z mai
z Oyc
Ach! t
więc
Małże

Ni
naywy
každy
koie.
zapis
iey, c
dzy n

LUDWIK.

WPan mnie widzę probujesz, cóż to ma znaczyć Mospanie?

ALBERT.

Nie Mości Dobrodzieju; nawet nie mam potrzeby probować WPana, gdyż znam go od młodości.

LUDWIK.

Do czegoż ta uwaga ma być przyśtosowana.

ALBERT.

Wiadomo WPanu, że jestem bez sposobu, a gdy Jchmość będziecie wyzutemi z majątku, co się stanie z WPanem, co z Oycem jego, a cóż dopiero ze mną? Ach! ta myśl serce mi rozdziera. Uważ więc WPan, czy mogę wejść w związki Mażeńskie z Panną Karoliną?

LUDWIK.

Nie rozpaczaj, miej raczey ufność w najwyższej Istności, która się opiekuje każdym stworzeniem, wkrótce cię ulpokoję. Wiedźże o tym, iż Pani Baronowa zapisała cały swój majątek Siostrze mojej, chciała była w prawdzie podzielić między nami uczynić, lecz ja sam tego przyjąć

iać nie chciałem. W Pan w tym moję mies-
sce załatpiłeś, ja zaś mam plac, który za-
wakował na Kantorze ekspedycyjnym, a
to jest Urząd Sekretarza, przy którym
jest dochód dość znaczny, czekam tyl-
ko ukończenia interesów domowych, i
jutro obejmę go.

ALBERT.

O Boże! co za radość. Ależ dla cze-
go ja o tym nie wiedziałem.

LUDWIK.

Ta rzecz dopiero się wczoray ukoń-
czyła, i nikt więcej nie wie prócz mego
Ojca i mnie, nawet to jest tajno Pan-
nie Karolinie: nie wiem dla czego się tak
Pani d' Artur podobala.

ALBERT.

Czy wie Pani Baronowa o moim przy-
wiązaniu do Panny Karoliny?

LUDWIK.

Nic jey nie jest tajno. Podobales się
jey W Pan, i zupełnie się zgadza na po-
branie się wasze.

ALBERT.

O wspaniały! i nader wspaniały Przy-
jacielu. Ileż nie powinienem być ci o-
bo-

bowia
ry na
starar

Be
szego
miłos
sweg
to se
miłoi

K
bydz
dop
bie.

odn
do
jecl

dzi
ieg

bowiązanym, nie przyjąłś maiątku, który na ciebie spadał, nadto przykładasz staranności do uszczęśliwienia mego.

LUDWIK.

Będziesz szczęśliwym bez najmniejszego powątpiewania, będziesz posiadał cel miłości twojej. Lecz co ja to nie jestem swego szczęścia pewny. Ach moje serce! to serce niekłażone najmniejszą iskierką miłości, czegoż w tym momencie doznaie.

ALBERT.

Kochany Ludwiku, gdybym ci mógł być w czym usługny, gdybym ci mógł dopomódz, życie moje azarduję dla ciebie.

LUDWIK.

Nie wątpie o tym.

ALBERT.

Ale jak słyszałem, że Panna Fani nie odmawia W Panu swey ręki, zostawiła to do woli Matki swojej, która już przyjechała.

LUDWIK.

To też mię naybardziej martwi, gdyż dzień dzisiejszy może być ruiną mojego szczęścia.

AL-

ALBERT. *Na stronie.*

Zalterowany nieborak, muszę mu mysl przerwać. (*głośno*) Ależ to dziwno, ta Dama tak grzeczna, tak cnotliwa i uymująca w tym stanie.... To rzecz do podziwienia. Już dwa tygodnie, jak do nas przyjechała, a nawet nie wiemy, kto ona jest, jakiego urodzenia.

LUDWIK.

Urodzenie bez cnoty, mało by jej zaszczytu przyniosło, niechciałem się nawet o tym wywiadywać, ale i o tym, oczym bym chciał bydź uwiadomionym, nie mogę, taka jest w tym tajemnica. Fani wcale nie jest podobna na służącą; musi ona bydź jakiego dobrego urodzenia, lecz Fortuna....

ALBERT.

Jakimże się sposobem ona dostała do Pani Baronowej?

LUDWIK.

Mówiła mi moja Ciotka, iż tygodniem przed przyjazdem do nas, chodząc w polu, uyrzała jadące na wozie prostym Fani i jej Matkę, która była bardzo potłuczona, spytana o przyczynę takowego przy-
pad-

padku, o powiedziała Córka z płaczem swój stan i podróż. Przejeżdżając o sześć mil od Folwarku Bedan przez most, gdy z jego zjeżdżali, pękła im oś, że aż pojazd z mostu upadł, w tym przypadku Pani Murer szkaradnie się potłukła, a że nie mogli nigdzie dostać stancyi wygodney, więc jechali zostawiwszy pojazd do Miałeczka, które jest nie daleko Bedan, ale Pani d' Artur nie dopuściła im tego, i dała mieysce u siebie rezydowania póty, póki by się im podobało. Gdy tedy Baronowa wybierała się do Oldenszurga, prosiła Fani, ażeby z nią jechała. Ta jak mogła wymawiała się nie chcąc swojej Matki, ile chorey, samey zostawić, ale po zapewnieniu Pani d' Artur, iż Pani Murer na niczym zbywać nie będzie, i że będzie mogła w domu, jak chcąc dysponować, dała się na reszcie nakłonić, jednak bardziey to uczyniła z posłuszeństwa Matce, niż z własney chęci.

ALBERT.

Nie mogłaż się Baronowa wywieźć o nich zupełnie z kąd jada?

LUDWIK.

Nic nie wiem, ale tak się spodziewam, iż Baronowa nicby przedemną nie tała.
Lecz

Lecz co słyszę, już się rozchodzą, musi
bydź po kawie, wkrótce tu jegomość
nadejdzie. Ach! kochany przyjacielu,
o jedną będę cię prosił łaskę.

A L B E R T.

Mógłże bym W Panu co odmówić.

L U D W I K.

Idź do Pokoju mojej Ciotki; Pani Mu-
rer i Fani pewnie będą u niej, przy-
rzekła mi Pani d' Artur, iż jak będzie
mogła, będzie kierować mój interes; u-
wazay więc co Pani Murer odpowie, lecz
nie tylko odpowiedź, ale i jej ruszenie,
staray się obserwować, rozumiesz mię
więc?

A L B E R T.

Ze wszystkim (*na stronie*) o Boże do-
pomoz mi, ażeby mi mógł donieść po-
cieszna nowinę. (*odchodzi*).

L U D W I K.

Ileż to umartwienia w jednym dniu ze-
brało się, ile interesów? Ach! gdyby prze-
dzey uspokoić Kredytora, gdyby przedzey
zdać mu Kamienicę, przynajmniej miał-
bym spokojną godzinę, a w tej mógłbym
beśpiecznie myśleć o mojej ulubionej
Fani. O Fani... kochana Fani! ty byś
mi

mi ośdodziła moje wszystkie kłopoty, zapomniabym o nich na zawsze, gdyby...

SCENA XIII.

LOTARY, LUWIK.

LOTARY.

(*Wchodząc, do Ludzi swoich, za Kulisę*) Mówilem już, ażeby wszystko było w gotowości, swoje rzeczy pozabierać w matelzaki, ale uchoway Boże ruszyć jaki sprzęt domowy, bo czy prędzey, czy późnief się dowiem, że którykolwiek będzie mi się ważył ztąd choć na szpilkę wynieść, to go odpędzić każe. (*do Partneru*) Choć i tak, wprawdzie będę musiał ich poodprawiać, bo gdzież ich będzie można posadzić, czym żywić, pozostawszy samemu tułaczem,

LUWIK.

Nie Mości Dobrodzieiu, gdyby mi nawet przyszło plugiem orać, nigdy W Panu Dobrodzieiowi tułać się nie dopuszczę.

LOTARY.

Czy i W Pan tu? nie wiedziałem. No mój Synu, ponieważ jesteś czuły na moje niefzczęście, zaśluguiefz więc, ażebym
cię

cię kochał i błogosławił, jednak ostrzegam, ażebyś pługa nie kładł za ostatnie narzędzie do wyrobku, gdyż podług mego zdania, jest to żelazo nayszacowniejsze. Sam to przyznasz, że gdybym z młodości był pilnował pługa, i was sposobił do uprawy roli, nie nosiłbym wprawdzie tytułu Pułkownika, a ty Porucznika, ale za to żylibyśmy swobodnie, a zamiast tych czczych honorów, mieli byśmy zasypane pełne zasieki zbożem, i niktby nas teraz nie tradował, Honory to nasze, honory uieły 'chleba. Ach! gdyby te żelaza, które wymyśli Ludzki urobił na rozlanie krwi niewinney, były obrócone do uprawy roli.... Ale daymy temu pokoy, powiedz mi raczey czy widziałeś się z Albertem?

LUDWIK.

Dopióro co odszedł.

LOTARY.

Mówiłeś mi, jaki list on mi dzisiay po-
dał?

LUDWIK.

O wszystkim.

LO-

LOTARY.

Cóż? jak się pokazał, nie zmartwi-
łaż go ta nowina cokolwiek?

LUDWIK.

Z razu był się zmieształ, ale potym zdał
się być spokojniejszym, i oświadczył
się, iż chętnie ponieść umartwienie dla
oswobodzenia domunalnego.

LOTARY.

Wcale za to nie dziękuję, i owszem
gniewam się na niego. Ale może to W Pan
czasem swemi uwagami byłeś mu do te-
go powodem? Uchoway Boże, bo kiedy
się dowiem....

LUDWIK.

Nie Mości Dobrodzieju, wcalebym te-
go nie uczynił, i owszem perswadowałem
mu. Był wprawdzie trochę upartym,
ale potym swoje zdanie odmienił. Już
tedy on jest zupełnie spokojnym, jest
pewnym swojego szczęścia, miłość je-
go będzie nadgrodzona... Ale moja...

LOTARY.

Bardzo w niedobry czas zaczęłaś jej
doznawać, prawda, dziewczyna warta
jest kochania, i ledwiebym się niezało-
żył

żył, że te kobiety są znacznego urodzenia, Matka jej w zapytaniach roztropna, w odpowiedziach uważna, ale tak obydwie mają coś tajnego, że ich dociec nie można. Zdałem więc twój interes, na moją Siostrę. Przyznam się, iż mocnobył sobie życzył nazywać Fanią moją Synową.

LUDWIK.

Jesli tylko WPan dołożył starania, wszystko się stać może.

LOTARY.

A mój kochany, czy ją przymuszę, żeby cię kochała, sam się o to powinieneś starać.

LUDWIK.

Zdaie mi się Mości Dobrodzieju, iż nie potrafię tego dokazać, gdyż Fani mimo swego stanu, taką wzbudza ku sobie nieśmiałość, iż będąc przy niey, sama cześć... uszanowanie...

LOTARY.

Cha! cha! cha! śmiać mi się chce z mego romansowego Amanta. No, no, bądź spokojnym, w twoim wieku nie należy o niczym rozpaczać. Jesteś czuły, młody, poczciwy, jeżeli kochasz, a nie jesteś
jesz-

jeszcze
Jey M
nie do
d' Art
sięcy.
przez
dobać.
po co
szym
gestra

Ze

Gdy
z nich

(W

No
neś
odtąd
o odd
nie m
nie, z
termin
cały

jeszcze kochanym, to będziesz, zaręczam.
 Jey Matka okazuje wielkie przywiązanie do twojej Siostry, mówiła mi Pani d' Artur, żeli miała zostać na parę Miesięcy. Ty już będziesz na Urzędzie, przez ten czas będziesz się mógł jey podobać. Ale daymy temu pokoy, ja tu po co inszego przyszedłem, a o czym inszym zacząłem mówić. Spisaneż są Re-gestra rzeczy, które się tu znaydują?

LUDWIK.

Ze wszystkimi. ...

LOTARY.

Gdyż wątpię barzo, ażeby mnie się z nich zostało.

LUDWIK.

(*Wzdycha*) Ach!

LOTARY.

No, i czegoż wzdychasz, powinie-
 neś owszem być spokojnym, gdyż
 odtąd nie będziemy się więcej turbować
 o oddanie tego długu, przyznam się, że
 nie mogłem nawet spać myśląc ustawicz-
 nie, kądby go oddać, po kilka razy de-
 terminowałem się sprzedać Kamienicę
 i cały sprzęt na zaspokoienie mego Kre-

E dy-

dytora, ale widzę, iż dwoie tyle nie wystarczyłoby na opłatę jego pensyi, bo choć to wszystko daleko więcej warte, gdy mi jednak podawał do sprzedaży, ledwo mi trzecią część wartości dawali. Niechay to będzie Szkoła dla ciebie mój Synu, żebyś nigdy długow nie zaciągał, bałbym ia tego nie uczynił, gdyby....
(postrzegłszy się na stronie) Cóżem chciał wymówić, i na cożby mi się zdało przed Synem czernić Matkę, której już może i kości pogniły.

LUDWIK.

Niechcę się badać przyczyny zaciągania onych, wiem, iż Oyciec tak dobry, tak roztropny, musiał mieć nieodbyte potrzeby tego.

LOTARY.

Pójdź, niech cię uściskam mój kochany Synu, twoje dobre serce wcale mi się podoba.

LUDWIK.

Powinnością jest moją stać się podobnym W Panu Dobrodzieiowi, ale gdy sobie wspomnę na Prezydenta Doras; Ach! ten, który lat kilkanaście mieni się być naszym Przyjacielem, który wła-

śnie

śnie
dzie
Prezy
jeszcz

Uti
a mie
przez
bydź
nu, S
przyi
nien
tylko
ci tyś
czas
kiedy
zety,
szcze
ów wy
nitorz
szalki
iaki
ca by
Bierz
jest r
teres.

Sąd

śnie jak przez staranność W Pana Dobrodzieia został umieszczonym na stopień Prezydenta, ten teraz podpisał Dekret jeszcze tak surowy na swego dobroczyńcę.

LOTARY.

Utrzymaj ten zapęd kochany Synu, a miej we wszystkim umiarkowanie, czyż przez to, iż jest przyjacielem moim, ma być mniey sprawiedliwym, nie, mój Synu, Sędzia roztrząsający sprawę czy przyjaciela czy nieprzyjaciela, nie powinien nie więcej mieć przed oczyma, jak tylko Boga i sprawiedliwość, okazałbym ci tyśiączne tego przykłady, gdyby był czas po temu, jednak dość mi będzie, kiedy ci przypomnę owe wypisy z Gazety, któreś mi przesyłał, kiedyś był jeszcze w Korpusie Kadetów, pamiętasz ów wypisek umieszczony w waszym Monitorze, o tym Polaku, który będąc Marszałkiem w trybunale, nie pamiętam w jakim Mieście, co to sądził własnego Ojca być winnym, i skazał go na więź. Bierz więc przykład z tego, iż świętsza jest rzecz sprawiedliwość, aniżeli interes.

LUDWIK.

Sądziłibyśmy się najszczęśliwsiemi,

E2

gdy-

gdym każdy tak myślał, ależ wiele to jest spraw, które oczewiście sążone są przeciw wszelkiej słuszności.

LOTARY.

Może to bydz, lecz nam tego nie należy roztrząsać, bo żyje Bóg, który widzi serce każdego, i w miarę zasług jego odda zapłatę, lub ukarze. Ale co-widzę, Pan Gierycht przechodzi, zapewne nas nie ominie, albo może i umyślnie do nas idzie po rezolucyą na list dzisiejszy, ale niech się nigdy nie spodziewa mojej Córkę, chyba, że sama dobrowolnie...

LUDWIK.

Ach! nie.... nigdy tego nie uczyni, będąc w Pokoju mówiłem jey o tym.

LOTARY.

Cóż ona?

LUDWIK.

Odpowiedziała mi, że W Panu Dobrodzieiowi we wszystkim będzie posłuszną.

LOTARY.

Nie, mój Synu, nie mam nad wami tyle mocy, ażebym waszym sercom mógł rozkazywać, od jey to własney woli będzie należało obrać, kogo sobie upodoba.

LU-

LUDWIK.

Kiedy tak, to Albert jest pewnym sw-
iego szczęścia.

LOTARY.

Zyczę ci z Serca, ażebyś to o sobie
mógł powiedzieć.

SCENA XIII.

Ci sami. GIERYCHT.

GIERYCHT.

O kłaniam, kłaniam, kochany Przyja-
cielu, mocno się cieszę że go w miłym
zdrowiu oglądam.

LOTARY.

Im bardziej starzeję, tym zdrowszym
się bydz zdaię.

LUDWIK.

Y Pan Gierycht pewnie przyiechał po
satysfakcyą Dekretu, która ma dziś na-
stąpić.

GIERYCHT.

Bynaimniey, mości Panie Ludwik,
bynaimniey: nie myślałem bydz uprzy-
krzonym, wcale jest insza tego przy-
czyna.

LO-

LOTARY.

Na dzisiaj termin naznaczony, Sprzęty już są spisane, Inwentarz ze wziętym jest gotowy.

GIERYCHT.

Uchoway mię Boże, ażebym WPanu Dobrodzieiowi. miał jakowąś przykrość czynić, owszem jesliby mi Pan w czyn rozkazał służyć, Befel jego jak najsołenniej będzie exekwowany. Co się zaś tycze sprawy, przysięgam na mój honor, że nawet nie wiedziałem, jak się rozpoczęła, kiedy się zakończyła, ale mój Adwokat jak w innych zdawał się mi być opieszłym, tak w tej został nadto pilnym. Jednak to się stało mimo woli moiej, zaręczam WPanu Dobrodzieiowi.

LUDWIK.

Na stronie. Przeklęty kłamca

LOTARY.

Adwokat WPana nie przez to nie wykroczył, uczynił tylko zadesyć swojej powinności.

GIERYCHT.

Mocno bym mu był Obligowany, gdyby to był proces z kim innym, ale wno

sze

szę moją instancją za nim, gdyż on nie-
wiedział, że ta sprawa jest z Teściem mo-
im.

LOTARY.

Jeszcze nim nie jestem.

GIERYCHT.

Prawda, moja w tym Mości Dobrodzie-
ju winna, iż dawniej moją Intencją nie
odkryłem przed Padem Dobrodzieciem,
ale mam nadzieję w dobroci jego, iż mi
to łaskawie darować zechcesz, gdyż tłum
Interesów nie dozwalała mi momentu
spokojnego.

LUDWIK.

Obarczony Interesami, niewiem, jak
WPan ten moment na próżnowaniu tra-
wił.

GIERYCHT.

Dla łaskawego Teścia gotow jestem
i całe życie...

LOTARY.

Mówiłem WPanu, że jeszcze nim nie
jestem, kto chce mieć mnie Teściem,
powinien się spytać moiej Córki, czy
chce być jego Zoną. Idę teraz koń-
czyć niektóre Interessa, do widzenia się
Mos-

Mospanie Gierycht: Jeżeli Karolina da
WPanu słowo, możesz bezpiecznie mię
nazywać Teściem.

LUDWIK: *Na stronie.*

Sliczna rezolucya.

LOTARY *Na stronie.*

Y mogłabym stać się przyczyną nie-
szczęścia biedney Dziewczyny, do której
najmniejszego nie mam prawa, która na-
wet nie wie, że nie jest moją Córką, nie...
z własnego Dziecka nigdybym tey ofia-
ry nie uczynił, *odchodzi. a za nim Lud-
wik.)*

GIERYCHT *Na stronie.*

Po jego odpowiedzi, nie mam sobie co
obietować, trzeba uderzyć w inną stro-
nę Mospanie Ludwiku... Mospanie Lud-
wiku! *wstrzymuje Ludwika*

LUDWIK.

Cóż mi WPan masz powiedzieć?

GIERYCHT.

Nie musiał WPanu Jegomość nic mó-
wić o tym liście, który do niego dziś
rano pisałem.

LUDWIK.

Nie

Nie widzę przyczyny, dla czego jestem o tym pytanym.

GIERYCHT.

Wieszże WPan, że dzień dzisiejszy wyznaczony jest na zapłacenie moiego długu z pretensyami.

LUDWIK.

Wiem, i cóż ztąd?

GIERYCHT.

O to to, że jeżeli nie będę zaspokojonym, zatrądię im Kamienicę, która przez Licytacją sprzedaną będzie.

LUDWIK.

Cóż dalej?

GIERYCHT.

O to to, że podobno WPanowie wyiedziecie z niej tylko w jednych surdutach.

LUDWIK.

Mnieysza o to.

GIERYCHT.

Mnieysza o to? i WPan na to wszystko tak zimno odpowiadał? a Mospanie gdyby mnie kiedy, czego Boże uchoway, podobny koniec spotkał, tobym się powiesił z desperacyi.

LU.

LUDWIK.

Nie miałeś mi WPan więcej nic powiedzieć? kłaniam. (*Chce odchodzić.*)

GIERYCHT. *Zatrzymując go:*

Proszę się zatrzymać na moment, oto Mospanie Ludwiku mówmy z sobą po Przyjacielsku, mocno mi żal WPanow, i gotów jestem wszystkiego odstąpić. Uważ WPan, wszystkiego! to nie żarty, chcę mnie tylko dopomagać.

LUDWIK.

W czym takim?

GIERYCHT.

Oto przelóż swoiey Siostrze miłość moją, mam Majątek, mam pieniądze, i WPanu przy niey nie złe będzie. Pamiętaj WPan na to, iż lepiej jest mieć sto Przyjaciół, niż jednego nieprzyjaciela.

LUDWIK.

Dobrze, żeś mi WPan to przysłówie przypomniat, zanotuję go sobie w pamięci. (*odchodzi*)

GIERYCHT.

Jak widzę, ci Ichmość drożą się z tą swoją pięknością, i chcą coś więcej na
mnie

mnie wytargować, ale wątpię bardzo, żeby tego dowiedzieli... Oy! ażeby mi tylko capnąć tę piękną Karolinę, dopierobym pokazał Jchnościom, co umiem, ale nie-
traćmy czasu, trzeba iść po Konsyliarzów, jak P. n Pułkownik obaczy, że nie żartem się zawiliam koło jego Kamienicy, upew-
niam, że się będzie prosił z swoją Karo-
liną, ale ja na ten czas będę droższym.
(*odchodzi.*)

Koniec Aktu pierwszego.



AKT

AKT DRUGI.

SCENA I.

ALBERT.

O naymilsza Karolino, podobno przeznaczenie usadziło się do rozerwania wspólnego szczęścia naszego... W jakież biedna rozpaczy zostawiona.... Ach! Serce mi się kraje, gdy sobie wspomnę na jey stan nieszczęśliwy.... Nie, Ludwiku... niemożemy obydwu razem być szczęśliwemi. Jeden z nas koniecznie powinien odstąpić swego zamiaru... Lecz komuż to należy uczynić, czy mnie, który od was tyle dobrodziejstw odebrałem, czy tobie, który dla mnie tyle onych świadczyłeś? nie, niemam się czego namyslać. Karolina już jest rozwiązana, gdyż inaczej Ludwik nie będzie miał Fani... O jak ten raz jest ciężki dla mnie... A cóż dopiero dla mojej Karoliny, która już oplakuje swoje przyszłe utrapienie.

SCENA II.

ALBERT, FANI.

FANI.

Mospanie Albert, czy nie widziałeś

WPan

WPan I.

Musi
Ogrodu
okno.

Musze
dzic.)

Zatr
nadezle

Wszy
smuceni
się mnie
dlużey
Ach! go

Koch
tey Sal

Telk
ni potra

WPan Lorensa, służącego mojej matki?

A L B E R T.

Musi być w Ogieynie, wychodząc z Ogrodu widziałem go, że patrzył przez okno.

F A N I.

Muszę go więc poszukać. (*chce odchodzić.*)

A L B E R T.

Zatrzymaj się WPanna, w moment go nadeszłę (*odchodzi.*)

F A N I (*sama*)

Wszyscy tu pomieszani, wszyscy zasmuteni, jeden tylko Pułkownik zdaje się mniey na to uważać, nie będę ich dłużej trzymać w tej niespokojności. Ach! gdyby prędzey Lorens.....

S C E N A III.

F A N I, M U R E R.

M U R E R.

Kochana Fani, nie widziałeś tu na tej Sali Pana Alberta?

F A N I.

Tylko co odszedł. Jestże na co WPani potrzebny? Ach

MURER.

Ach!...

FANI.

Cóż to jest? WPani widzę pomieszana, czy nowe jakie umartwienie?

MURER.

Nie wiesz też, co to za zamieszanie jest w tym domu. Chodziłam w Ogrodzie z Baronową d' Artur spacerem, po odesciu Jey do Pana Pułkownika... Ach! mówić nie mogę.

FANI.

Cóż się stało?

MURER.

Karolina, ta miła Panienska zostawiona w rozpacz, i pogrążona w największym żalu, weszła w głąb promenady... Przywiązanie moje do niej... kochana Fani, pójdź, pójdź, może ją rozerwiemy.

FANI.

Pogrążona w rozpacz? i WPani żeś ją samą zostawiła?

MURER.

Biegłam za Albertem, który wszedł do tej Sali, chciałam się wywiedzieć o przy-

przyczynie tego smutku. Ależ to mię
barzo zaintrigowało, że Albert ią zostawił
w tym stanie.

F A N I.

Nie, Mościa Dobrodziko, nie traćmy
czasu na próżno badaniem się, trzeba ra-
czej biec do niej, może ią gdzie znay-
dziemy. Ale o toż i Lorens.

SCENA IV.

Ciż sami LORENS.

LORENS.

Pani mnie kazałaś wołać?

F A N I.

Tak jest: biegaj do pojazdu, i przynies
mi Szkatułę, ale jak najszybciej.

LORENS.

Alboż ja ią sam uniosę, wszak to we
dwóch jest co dzwigać, i przyśięgam....

F A N I.

Cicho, nie krzycz tak, weź do pomocy
Macieja.

LORENS.

A Koni kto będzie pilnował, lepiej
Pani

Pani day kluczyk, to ja przyniosę, wiele będzie potrzeba....

F A N I.

Pójdź precz, rob to, co ci każe.

M U R E R.

Nie sprzeciwiay się Lorens, chodźmy kochana Córko.

F A N I, odchodząc.

Tylko jak nayprędzey, rozumiesz?

L O R E N S sam.

Co to w tym jest skrytego, Pani nigdy ze mną tak przykro nie postępowała, jak dzisiay.... a ha.... ziedźże diabła.... zapewne Madam przed nią powiedziała, o naszej dzisiejszey rozmowie.... niechce mi powierzyć kluczyka do szkatuły, dawniey tego nigdy nie czyniła, nie przewierzyłem się jey w niczym.... Tak, musiała powiedzieć, ani chybi, kazała przynieść Szkatułę, ażeby mi oddała moje zaślugi, a potym puściła z kwitkiem. Trzeba się tu mieć na ostróżności. Maciey ten ślepy Mazur, choć gaduła, ale człowiek poczciwy, pewnie u nich zastąpi moje miejsce.... trzeba się tu mieć na ostróżności, trzeba go odstręczyć.... ale jak-

wiele

jakby to (*mysli*) Brawo, dobry projekt przyszedł mi do głowy, takiego mu duba poplotę, że ich jeszcze dziś porzuci, a ja się zostanę... Oy! co zagłupia bestya ze mnie, na co mi się było dziś rano badać, ja chciałem ich nastraszyć, a oni mnie bardziey nastraszyli. (*odchodzi.*)

odźmy

SCENA V.

GIERYCHT, dwóch KONSYLIARZY,
i WOZNY.

Pierwszy KONSYLIARZ.

nigdy

a, jak

za-

działa,

iechce

y, da-

e prze-

k, mu-

przy-

moie

tkiem.

laciey

czło-

astąpi

ieć na

... ale

jak-

Ależ mospanie Gierycht zdaje mi się, żeśmy zawczasu przyszli, dopióro wpół do jedynastej.

GIERYCHT.

Nic to nie szkodzi, im prędzey, tym lepiej,

KONSYLIARZ drugi.

Może Pan Pułkownik jeszcze pieniądzmi zapłaci.

GIERYCHT.

Co zapłaci, a z kąd u kąt, kiedy nie ma szeląga przy duszy: i gdyby Baronowa d' Artur nie przywiozła z swego Folwar-

ku

ku więdliny, toby od kilku dni jeść nie mieli czego.

KONSYLIA RZ Pierwszy.

Taż sama Baronowa może go wesprzeć, słyszałem, że jest miłośnierna Pani.

GIERYCHT.

Dla tego też nie ma. Gdzie też W Pan widziałeś, żeby który miłośnierny miał się dobrze? ten głupi gatunek ludzi kontent, kiedy kogo wesprze, a potem sam chleba musi prosić.

KONSYLIA RZ drugi

Jednak widziałem i miłośniernych i majątnych.

GIERYCHT.

Nie wiem, ktoby to był taki? gdyż ja przysięgam, że gdyby u mnie jaki żebrak trzy dni stał pod oknem, tobym mu szeląga nie dał. Ale powiedz mi W Pan, co też ma W Panów. Prezydent, który jest tak miłośniernym, aż wstyd wejść do jego stancyi? Stary sam niewie, co ma robić z pieniędzmi, aby tylko dostał pensyą, tak zaraz albo aresztanta wykupi, którego sam pierwej dekretuje, a nie, to na szpitalu rozdaie; niechże się tylko jaki łaydak nawinie, albo jaka kobieta, a do

Do tego jeszcze z dzieckiem na rękach,
to gotów nawet zapożyczyć się, a ni-
gdy darmo nie odpusci. Co też ma w stan-
cyi? oto lepiej sprząty u Adwokata,
niżeli u niego.

KONSyliARZ pierwszy.

Mimo tego, ma powszechną miłość, i u
wszystkich jest poważany.

GIERYCHT.

Ey co mi po miłości i po takiej po-
wadze, kiedy pułki w kieszeni.

KONSyliARZ drugi.

Słyszałem jednak, że Pani d' Artur
pod czas kontraktów poddawała swój
zameczek na zastaw, jedynie na zapła-
cenie WPana pretensyi.

GIERYCHT.

A kto jey tyle da, wiele 'potrzeba?
Wszak to samego długu, oprócz różnych
expensów, więcej jak pięć tysięcy Czer-
wonych złotych, a ja za jey cały Maią-
tek nie dałbym w podobnym razie i ty-
siąca.

KONSyliARZ pierwszy.

A Mospanie, co też WPan mówisz, pa-
miętam, iak podawano w Taryffie po
ostatniej lustracyi, że ten Folwark wy-

nosil intraty roczney do tyſiaca Dukar-
tow. Miarkuy teſz WPan, co on moſze
bydſz wart?

GIERYCHT.

Nie przeczę temu, iż nierównie jeſt
wart więcey, i mój Przyjaciel Rátów-
kin-Jud dalby jey dawno tę Summę na
zaſpokojenie moſze, ale baba uparta, nie
chciała wydać wexlu na drugie tyle, dla
tego nie doſtala pieniędzy.

KONSYLIARZ drugi.

Wexel na drugie tyle, a już teſz to be-
sumnienia.

GIERYCHT.

A Mospanie! na bok tam ſumnienie
gdzie idzie o pieniądze, a potym przy-
ſlowie nieſie, wtedy łyka drzeć, kiedy
ſię dadzą.

KONSYLIARZ pierwszy.

Gdzie ſię podzieie ten biedny Półko-
wnik ſam, troię Dzieci?

GIERYCHT.

A kto temu winien, na co darmo zia-
dów trzyma w domu. Syna Alberta ode-
brał z Regimentu, a diabli wiedzą po co.
Ale jeżeli Córkę wyda za mnie, to mo-
że

że cokolwiek i odstąpię. Bo też mówiąc
prawdę, Sąd bardzo pociągnął za. Pa-
nem Półkownikiem, spodziewałem się
tego, gdyż Prezydent jest wielkim jego
przyjacielem.

KONSYLIARZ drugi.

Y owszem powszechnie mówią, że nad-
to surowy dekret. Jakoż w samey rze-
czy, nie zostawia ich, jak tylko w tym,
w czym chodzą, a resztę wlızystko na
zaspokojenie WPana.

GIERYCHT.

Surowy.... ja żądałem, ażeby, jeżeli
czego niedostaje, samego i Syna w sa-
dzić do....

KONSYLIARZ pierwszy,

Dość tego Mospanie, jesteśmy pro-
szeni od WPana do wyexekwowania de-
kretu, nie słuchania niegodziwych jego
mandronow. (patrzy na zegarek) dopióro
jedenaśta, jak pora będzie, możesz WPan
przyisć do nas, będziemy się znajdować
pod złotym Lwem.

GIERYCHT.

Ależ Mościpanowie, chodźmy przy-
najmniej do Pana Pulkownika.

KON.

KONSYLIIARZ drugi.

Nie mamy jeszcze po co. Do obaczy
ska Mości Panie Gierycht. (odchodzą)

GIERYCHT. do Woźnego.

Sluchay no, przynaymniey się ty zo
stań, żebyś, jak czas będzie, poszedł p
nich.

WOŹNY.

Mości Dobrodzieiu, Summa WPa
dość znaczna, za którą masz Kamienic
tradować, spodziewam się od niego do
stać przynaymniey z pięć Dukatów, ma
ich WPa mnie późniey dać, day m
ich lepiej teraz, a z ochotą będę pełn
jego rozkazy.

GIERYCHT.

Pięć Dukatów, a oszalałeś ty, nie sly
szalłeś, co to Konfiliarze mówili, że
trzeba być miłosiernym i sumniennym
a ty mię się wazysz prosić o pięć Duka
tow?

WOŹNY.

Prawda, ale slyszalem też WPa mo
wiącego, że w tedy lya drzeć, kiedy się
daia.

GIERYCHT.

Komu się daia, a tobie się nie dadzą.

WO-

WOZNY.

obaczy
chodzą
go.
ę ty zo
szedł p

Do nóg upadam Mości Dobrodzieiu,
znaydziesz mię WPan, kiedy będzie po-
trzeba pod białym Jeleniem. (odchodzi)

GIERYCHT. sam.

Idziecie na złamanie szyi. Proszę ich tu
spolować, tamci poszli pod złotego Lwa,
ten pod białego Jelenia, dobrze, że
czwartego niema, boby mi kazał się szu-
kać pod czarnym Osłem. Boday nikt ni-
gdy dobry nie doczekał mieć sprawy.
Ależ ja się tu bawię, a godzina upływa,
mógłbym tym czasem co pomówić o
Pannie Karolinie, lecz mogę jey bydź
pewnym. Prawda, że głupstwo najwię-
kšie robię, ustępując tak wielkiey Sum-
my za iedną kobietę, i cóż robić, ina-
czejbym jey nie dostał. Szkoda, Kamie-
nica piękna, do tego i ogrod, prawdzi-
wie dwa razy więcej warta, jak moje
pretensye. Ale ja ją i tak będę miał, bo
i cóż żąd, że im dam kwitacyą z pre-
tensyi, będą mieli dom, ale nie będą mie-
li czego jeść. Wszystko to, jak widzę, bę-
dzie moje, będę miał i Zonkę, i Kamie-
nicę.

SCE.

adzą.
WO.

S C E N A VI.

KAROLINA *sama zapłakana.*

Gdzie się tylko obróczę, nigdzie pociechy znaleźć nie mogę, już nie maż żadney nadziei uniknienia tego nieszczęścia. Gierycht poszedł do pokoju mego Ojca... może .. lecz nie: mówił mi Brat, że Oyciec do woli moiey oddaie. O kochany Oycze, czemuż mię raczey pod posłuszeństwem nie nakażesz szlubować temu, o którym nawet wspomnieć nie mogę. Mówisz, że nie masz prawa nad moim sercem, i że niechcesz mi byź tyranem, a jaż będąc twoią Córką, mamże nim byź względem ciebie.... Nie... póydę raczey za przeznaczeniem.... O! Gierycht, nienawidzę cię, i znam, że cię kochać nigdy nie będę mogła, ale będę ci się starała podobać. (*mysli*) Murer nie dla czego iuszego odwleka rezolucyą, jak tylko, ażeby po zatradowaniu Kamienicy, ztąd mogła odiechać. Trzeba więc temu zapobiedz, a dla zaspokoienia Ojca i Brata, uczynić z siebie ofiarę.... Ale ty.... ty nieszczęśliwy kochanku, gdzie się obrócisz, jużże cię więcej nie będę oglądać. Już te pożegnanie się nasze ma byź ostateńie, byź to mo-

może... Lecz Serce moje nigdy cię ko-
chać nie przestanie. Ach! miłość, ta paś-
sya musi mieć nad nami samowładne pa-
nowanie. W ten moment здаie się Albert
mi być miłym, kiedym o nim zapo-
mnieć powinna. Utracam cię więc luby
Albercie kochanku, lecz nie ja jedna z u-
traty ciebie będę zmartwiona. Ja tracę
kochanka, a dom przyjaciela.... Gie-
rycht ... z kąd mu się wzięło starać się o
mnie, nigdy o tym nawet ani wspomniał,
musiał się kto jeszcze przyłożyć do te-
go ... musiał... (przechodzi się) Ach! si-
ły utracam, gdy sobie rozważam dalszy
ciąg Zycia moiego (siada przy stoliku
i zastania się chustką.)

SCENA VII.

KAROLINA i DORAS.

*Karolina siedzi wsparta ręką na Sto-
le zamysłona.*

DORAS *tonem ponurym nie widząc
Karolinę.*

Podobno to już ostatni raz przycho-
dzi mi ten dom odwiedzać, wkrótce
uyrzę w nim wielkie zamieszanie. .. Ach!
ukryte są Sądy najwyższej Istności
Ten

Ten dom przed lat dwudziestą był obfity we wszystko, dziś przez jedną kobietę jest opatrywany. O! niefortunliwy przyjacielu, nie doznawałeś tych nieszczęść, pókiś mnie zbrodnia w twój dom nie przyjął. Ach! za moje to występki podobno musisz pokutować. Jeże i tak jest, Boże! dotknij mnie raczey śmiercią, a oswobodź tego, który od wstąpienia mego w jego progi, już poczał upadać, a teraz ginie ze wszystkim. O! Lotary wzięłeś moją Córkę na wychowanie, a za nią wszystkie nieszczęścia w dom twój wpłynęły.... Dorys.... kochana Dorys... twoje to lzy ściągają pomstę, nie tylko na mnie, ale nawet na tych, którzy się mną opiekują.... Znam, że za zdradę ciębie kochana przyjaciółko, nie jestem godzien tego, iż mi Słońce równie jak innym świeci, na mnie więc jednego niechay kara twoja spadnie. O! Boże, lecz przepuść tym, którzy brzydzą się moją zbrodnią. O Dorys, najmilsza Dorys, gdyby mnie przynajmniej Nieba pozwoliły przed zawarciem powiek moich upaść ci do nog, i prosić o przebaczenie, choć znam to, iż nie wart jestem tego, ale znam też twoje serce, żebym go z łatwością otrzymał.

KA-

KAROLINA *porywając się.*

Cóż to jest, co za hałas, czy nie już....
Ach! W Pan to jesteś Mości Prezydencie.

DORAS *zdziwiony z przełknięciem.*

Co ja widzę, co W Panna robisz w tey
Sali, dawno przyszedłaś, czy nie podślucha-
łaś mnie czasem?

KAROLINA.

Nie, Mości Dobrodzieiu.... wcale nie,
sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Jestem
tu na Sali od kilku momentow, jednak
nie nie słyszałam.

DORAS, *pomieszany.*

Nie widziałeś mnie W Panna?

KAROLIKA.

Nie: gdyż ja za naypierwszym uyrze-
niem W Pana, dałabym się mu sama wi-
dzieć.

DORAS.

Jednak mówisz, iż od kilku momentow
jesteś na tey Sali, cożes tu robiła?

KAROLINA, *niespokojna.*

Ach! Mości Dobrodziej, sama nie-
wiem: ten moment zdał się dla mnie,
czy

czy snem, czy zachwyceniem, kiedym
WPana wchodzącego nie widziała.

DORAS.

Jesteś, jak widzę, roztargniona. Oświeć
mnie, co to ma znaczyć.

KAROLINA.

Nieszczęśliwy stan mój, a tak nie
szczęśliwy, w jakim jeszcze nikt się nie
znaydował.

DORAS, *Na stronie.*

Ah! czy tylko nie podsłuchala, albo czy
nie jest uwiadomioną o wszystkim, gdy-
by tak było, zostałbym w naywiększey
rozpaczy. (*Głosno:*) Cóż to jest, stoisz
zamyślona?

KAROLINA.

Tak Mospanie, wyznam roztargnienia
moje, wyznam mu pomieszanie, i nie-
spokojność, która mnie trapi. Ten bo-
wiem, którego nad życie kochałam, ten . .
Ah! i mówić nie mogę.

DORAS, *Na stronie.*

O Boże! może już wie o wszystkim.

KAROLINA.

Tak jest, o wszystkim.

DO-

DORAS.

Ktoż ci to powiedział?

KAROLINA.

Pan Ludwik.

DORAS.

A jemu?

KAROLINA.

WPana naywiększy Przyjaciel, a mój...

DORAS, *przełęczniony.*

O Nieba! zdradzony jestem.

KAROLINA.

Cóż to jest, co się to ma znaczyć?
WPan zdradzony, przez kogo? Ah! Mo-
spanie, czy nie WPan że to jesteś przy-
czyną moiej zguby i moiego nieszczę-
ścia?

DORAS.

Tak jest, ja to jestem, ja przyczyną
twoiej zguby. Ja przyczyną wszystkich
nieszczęść tego Domu.

KAROLINA.

WPan? o Boże! Co ja słyszę. (*upa-
da osłabiona, Doras ją wstrzymuje*)

DORAS.

Karolino, kochana Karolino!

KA-

KAROLINA, *wyrywając mu się.*

Puść mnie WPan, puść okrutny, nie używaj tego wyrazu więcej do mnie, był on mnie miły z ust WPana w tedy, kiedym mniemała, żeś jest Przyjacielem mego Oycy i moim... Możnaż było inaczej sądzić, na Rękach WPana wychowałam się, widziałam jego przychylność do nas, a teraz pokazujesz się być zdraycą, i niedość, że pograżyles nasz Dom w naywiększy upadek, pograżasz i mnie nieszczęśliwą, i jeszcze na dobitkę przychodzisz sam się z tym wyznawać.

DORAŚ, *na stronie.*

Co się to znaczy, wcale tego nie rozumiem.

KAROLINA.

Stronisz WPan nawet, niechcesz słuchać wyrzutów, które... Ale cóż to jest... Co za poruszenie nadzwyczajne w sercu moim uczułam, nadtom się widzę uniosła piersią, czuję żal nieznośny, zem się tak ostro obeszła, czuję, iż przywiązanie do WPana bierze górę nade mną. Daruj to, daruj ułomności moiej, prawda, iż wyznanie WPana, jest dla mnie wyrazem nayokropniejszym, *gdyż*

gdyż przez ten jego postępek przwidzie
mi utracić, albo Alberta, którego nad ży-
cie kocham, albo widzieć Oycę w upad-
ku, i Brata nieszczęśliwym.

DORAS, *Na stronie.*

Ah! oddycham przecie, nie mogliśmy
się widzieć rozumieć.

KAROLINA.

Prawda, że mnie czeka wielkie umar-
twienie, lecz jestem młoda, przywyknę
do wszystkiego. Wreście choćby i Oy-
ciec miał WPana w nienawiści, ja go
nigdy kochać i poważać nie przestnę.

DORAS, *Na stronie.*

Poznaię po tej mowie, że jeszcze nie
wie o niczym (*głośno:*) Kochasz mnie
więc Karolino?

KAROLINA.

Równie jak rodzonego Oycę, i wy-
znać muszę, iż więcej mam do WPana
śmiałości, niż do tego, który mi dał ży-
cie.

DORAS.

Pierwszy raz od ciebie słyszę podobne
wyrazy.

KAROLINA.

pierw.

Pierwszy raz też zostałam przez niego tak zmartwioną, poprzednicze bowiem wyznanie WPana, żeś się przyłożył do naszego nieszczęścia, zamieniło w moim sercu miłość w nienawiść, lecz ta znowu zda się powracać.

DORAS.

Ale ktoż ci to mówił, że ja się do niego przyłożył.

KAROLINA.

WPan sam.

DORAS.

Ja zaś?

KAROLINA.

Nikt więcej.

DORAS.

WPanna mówiłaś, że jey Brat o czymś donioś.

KAROLINA.

To tylko, że Pan Gierycht usiłnie się starał o moją Rękę.

DORAS. *Na stronie.*

Dzięki Niebu, jeszcze o niczym nie jest uwiadomioną.

KAROLINA.

Jednak ja temu nie wierzę, żebyś nawet

wet kiedy mógł pomyśleć przyłożyć się do naszego upadku.

DORAS.

Ah!

KAROLINA.

Miałab to być prawda, niechcę nawet myśleć o tym.

DORAS!

Nie, najmilsza Karolino, to moje wyznanie, było tylko momentalnym obłakiem, szukaliśmy się oboje, nigdy bym...

KAROLINA.

Nic więcej niechcę wiedzieć. Ah! ten moment jest dla mnie najszczęśliwszym, gdy WPana widzę niewinnym.

DORAS!

Powiedźże mi, co jest przyczyną twojej niespokojności, czy nie Oyciec... może czasem przymusza, ażebyś dała rękę?

KAROLINA.

Nie, Mospanie, znasz WPan mego Oycia dawniej odemnie, obchodzenie się jego z nami, zawsze jest jednakowe, do woli mojej oddaie... Ja zaś sama nie wiem, jak mam postąpić w tym razie.

G

DO.

DORAS.

Ponieważ sama sobie nie możesz poradzić, życzę, udać się do Oycy, jest roztropny, umiarkowany, a do tego kocha WPannę.

KAROLINA.

Prawda, przyznaię to: jednak wyznać muszę, iż sama niewiem, co się ze mną dzieje, znam to, że mnie Oyciec kocha, nawet zda się uprzedzać chęci moje. . . .

DORAS.

Tak i powinien mieć zaufanie u swojej Córkę.

KAROLINA.

Kocham go, poważam go, lecz nie mam tej odwagi, co do WPań.

DORAS.

A to czemu?

KAROLINA.

Nie niewiem. Przyznam się WPań, że co czynię na rozkaz Oycy mego, czynię to z posłuszeństwa, któremu jestem winna, służyć zaś WPań Dobrodzieiowi, uprzedzać jego chęci, mówić z nim, słuchać rad jego, są momenta dla mnie nieopłacone, w przytomności Jegomości-

ściney skromność i uszanowanie zdają się
być dla mnie prawidłami, lecz przy WPa-
nu sama szczerść serca mną rządzi,
z kąd zaś to pochodzi, wytłumaczyć nie
potrafię.

DORAS.

Wdęczen ci jestem za to, a ponie-
waż WPanna zawsze moje rady przy-
imowałaś, spodziewam się, że i teraz nie
odrzućisz

KAROLINA.

Ah! nigdy.

DORAS.

Radzę ci tedy, ażebyś do Oyca swego
z tą mówiła szczerością, z którą mó-
wił do mnie, a uyrzysz, iż wkrótce
nabierzysz do niego teyże śmiałości,
co małz do mnie (*Na stronie.*) O Nie-
ba! co ja to cierpię, (*chce odchodzić.*)

KAROLINA.

WPan Dobrodziey odchodzisz. Ah!
Mości Dobrodzieju, mozem go tym wy-
znaniem uraziła. Zmiłuy się Panie, da-
ruy mi to, a nie zostawiaj mnie bez po-
cieszzenia.

DORAS.

O cóz ci idzie, nie podoba ci się Pan
Gierycht? nie idź za niego.

G

KA.

KAROLINA *placząc.*

A Ojciec mój... A Brat mój....

DORAS.

Brat Waspanny żąda tego?

KAROLINA.

Nic nie żąda. Ale jeżeli pójdę za przywiązaniem, Brat mój utraci to, co bardziej kocha nad życie.

DORAS.

Brat zaś WPanny się kocha, a to w kim.

KAROLINA.

Widziałeś WPan Dobrodziey przed kilko dniami tę Panienkę....

DORAS.

Która przyjechała z Panią d, Artur, widziałem, i przyznaię, że jest warta kochania, jeżeli ma tak serce piękne, jak jest sama.

KAROLINA.

W niczym się nie różni.

DORAS.

Cóż dalej, Pan Ludwik chce się z nią zenić, a ona...

KA-

KAROLINA.

Oddała do woli Matki, która dnia dzisiejszego, przyjechała.

DORAS.

O Matka, jey tu?

KAROLINA.

Ach! żebyś W Pan wiedział, co to za Kobieta, jak jest miła, jak uymuiąca, zdaje mi się, iż ją równie kocham, jak W Pana.

DORAS.

Więc niech się do niey uda, a spodziewam się, że...

KAROLINA.

Pani d' Artur i ja jużemy jey o to mówili.

DORAS.

Cóż odmówiła wam?

KAROLINA.

Nie ze wszystkim, zawiesiła tylko do ukończenia interesow naszego Domu.

DORAS.

Nie naydłuższy termin założyła...
Ach... Dzisiaj się zapewne skończą.
Cóż na to Pan Ludwik?

KA.

KAROLINA.

W naywiększey rozpaczey.

DORAS.

Dla czego?

KAROLINA.

Sądzi, że Pani Murer nie inszą myślą odwleka, jak tylko, ażeby wiedziała, w jakim stanie będziemy się znaydować, i dla tego...

DORAS

Domyslam się reszty, czeka tylko sposobności wyiechania, dla tego podobno odwleka. Cóż Wpanna myślisz na to?

KAROLINA.

Ta uwaga serce mi przeszływa. Mamże pójść za własną chęcią? nie, nigdy tego nie uczynię, wolę raczey całe życie sama ponieść umartwienie, aniżeli widzieć Oyca... Brata... Ach! siły mnie odstępują. (*siada na krzesło, i wspiera się na stole*)

DORAS. odchodząc.

Już nie zniosę tego dłużej, co za zgryzota trapi serce moje, lecz to jeszcze mało dla mnie za tak szkaradny występpek, zasługuję na to. (*Spogląda na Córkę, z naywiększym poruszeniem odchodzi.*)

KA-

KAROLINA. *wstając.*

Pociesz mnie WPan przynajmniej, nie odmawiaj mnie tej łaski. Lecz gdzież jest, gdzieś się podział, o okrutny Przyiacielu!... Czyż dzień dzisiejszy jest szczególnie przeznaczony na moje udręczenie? Wszyscy unikają odemnie, nikąd nie mam pocieszenia. Ach! rozpacz mnie ogarnia.

SCENA VIII.

ALBERT, KAROLINA.

ALBERT.

Niech ją jeszcze raz oglądam. Niech jej oddam ostatecznie pożegnanie.

KAROLINA.

Cóż widzę, on to?

ALBERT.

Ja to jestem, najmiłsza Karolino, ja, który cię kocham nad życie.

KAROLINA.

Czegoż WPan chcesz? po co mi dobiegasz umartwienia?

ALBERT.

Przychodzę cię tylko uwolnić od przyrzeczenia, któreś mi uczyniła, gdyż oym w ogrodzie zapomniałem.

KARO-

KAROLINA.

O nieszczęśliwy stan mój... Nieszczęśliwe życie moje, ale co tu robisz? czas krótki, Ach! nadchodzi godzina umartwienia mego.

ALBERT.

Cóż cierpię w ten moment, po cóż mi było się wracać? przynij więc to ostatnie pożegnanie.

KAROLINA.

Ostatnie, Ach! to słowo śmierci się równa. O kochany Albert, jużże cię więcej nie uyrzę?

ALBERT.

W ten Moment... Wołałbym raczej śmierć, aniżeli życie... Ale będę się starał znieść ten cios, potrafię umrzeć dla oswobodzenia mego Dobrodzieja, i nieszczęśliwienia Przyjaciela. Pozwól jednak, niech oczy moje, nim śmiertelne zawrą powieki, nasycą się twemi wdziękami.

KAROLINA, do parteru.

Y jakże, dam się powodować Pałsyi, którąm powinna w ten moment przytłumić? Czyż nie śmieszna, wstrzy-

my-

mywać ją dotąd: (do Alberta) Ach! od-
 stąp już, odstąp ... Zostaw mnie samą.

ALBERT.

Z jaką ciężkością przychodzi mnie
 ten rozkaz wypełnić! Byway więc zdro-
 wa naymilsza Karolino, bądź szczęśliwa,
 bo ja nim być nie mogę, byway zdro-
 wa zawsze. (odchodzi)

KAROLINA.

O Boże, jakąż mekę ponoszę. Ach!
 Albert, kochany Albert. (Bieży za Al-
 bertem, i Pada na szyję przychodzącego
 Gierychta)

SCENA IX.

GIERYCHT KAROLINA.

GIERYCHT.

Nayniższy. Po tym uciskaniu mogę
 się spodziewać, że będę miał dobrą Zonę.

KAROLINA przybierając miłą
 spokojną.

Otoż się zbliża godzina moich nie-
 szczęść.

GIERYCHT.

Mocno mię to cieszy, że na pierwszym
 wstę-

wstępie zostałem tak czule uściskany od
WPanny Dobrodziki.

KAROLINA *na stronie.*

Cóż mu mam powiedzieć?

GIERYCHT.

Od Oyca WPanny Dobrodziki ode-
brałem już zezwolenie, idzie tylko o
jej samey.

KAROLINA.

W czym takim Mości Dobrodzieju?

GIERYCHT.

W czym? a to śmieszne pytanie, nie-
uwiadomiłże WPannę Jegomość o ni-
czym?

KAROLINA.

O najmnieyszey rzeczy.

GIERYCHT.

Musiał więc zapomnieć, wielka szkoda;
otoż ponieważ on zapomniał, tedy ja
iż uwiadomiam (z umizgiem) Mościa
Dobrodziko, tak zostałem przerażony jej
wdziękami, iż zdaje mi się, że nie mogę
żyć dłużej, nie będąc ich właścicielem.

KAROLINA.

Mocno mu jestem obligowaną za to.
GIE-

GIERYCHT.

Właśnie teraz mówiłem o tym z Pannem Pułkownikiem, chodzi tu tylko o jej zezwolenie, spodziewam się więc, iż go z łatwością otrzymam, gdyż ja z siebie w tym razie wielką czynię ofiarę, i przysięgam, że dla innych stu kobiet nigdy bym tego nie uczynił.

KAROLINA.

Słyszałam o tym (*na stronie*) co za męka, (*głośno*) Powinnością jest mi być Oycu we wszystkim posłuszną.

GIERYCHT.

Wyśmienicie Mościa Dobrodziko.... Uwaga! WPanna pięć tysięcy Czerwonych złotych, te nie piechotą chodzą.

KAROLINA.

Wiesz też WPan, iż jestem uboga, i nic za mną nie weźmiesz, prócz tego, co na mnie widzisz.

GIERYCHT.

O serce, które mnie kochać będzie.

KAROLINA.

Ach! gdyby to mogło nastąpić!

GIE-

GIERYCHT.

Nastąpi, zaręczam, jak mnie W Panna
poznasz lepiey. Jakże, zezwalasz W Pan-
na na nasze Małżeństwo? ja zaś nic wię-
cey nie żądam, prócz jey ręki.

KAROLINA.

Nim przyidzie do tego, że mu osta-
tnie dam słowo, pozwol mi W Pan jedną
sobie podać kondycyą.

GIERYCHT.

Byle nie więcey, chętnie pozwalam.
No słucham.

KAROLINA.

Wiadomo W Panu Dobrodziejowi, jak
moja Familia jest w biednym stanie.

GIERYCHT.

To nie tylko ja, ale już cały świat o tym
wie, lecz im się zostało kamienica.

KAROLINA.

Y nic więcey? to mię też naywięcey
martwi. Ale ponieważ my jedną będziemy
składać Familią, uczyn mi W Pan przy-
rzeczenie, że całego naszego domu po-
trzebami zechceś się zatrudnić.

GIERYCHT.

Całego domu potrzebami?

KA-

KAROLINA.

Tak jest.

GIERYCHT.

Jak to, wytłumacz mi WPanna jaśniej.

KAROLINA.

To jest: iż nie odmówisz im wsparcia, którego pewnie będą potrzebowali.

GIERYCHT.

Y owszem i owszem, a odkogoby się Pan Półkownik mógł spodziewać, jeżeli nie od swego Zięcia, bądź WPanna pełną, że mu nigdy nie odmówię.

KAROLINA.

Y przyrzekaszże mi to WPan?

GIERYCHT.

Ależ Mościa Dobrodziko, o to nawet prosić nie trzeba, bo czy mógłżebym znieść, ażebym moiej Zony Oyciec miał u kogo innego pożyczać pieniędzy, nie u Zięcia, o mocnoby mię to gniewało.

KAROLINA.

Zdaiesz się mnie WPan nie rozumieć?

GIERYCHT.

Rozumiem, rozumiem, i bardzo rozumiem.

KA.

KA.

KAROLINA.

Ja mówię, iż WPan sam nie znieszysz tego, żeby moja Familia nie tylko gdzie indziej miała pożyczać pieniędzy, ale nawet u niego samego.

GIERYCHT.

Y jakże, mam im darmo dawać?.. WPanna Dobrodzika będziesz miała to, co jej się będzie podobało, będziesz sobie wygodnie żyła, będziesz...

KAROLINA.

Wszystko to u mnie jest niczym, skoro Oyciec mój zostanie w nędznym stanie.

GIERYCHT.

Ba: o toż mi się podoba. Wieleż to WPanna obaczył Imościow iędząc karetami, których Oyciec bruki zamiata, a Matka rondle szaruie, a dla tego jest spokojną, i nic to ją nie obchodzi.

KAROLINA.

Jaka się nie może nazwać podczywą Córką... ale co mi tam do inszych, o mnie to tylko mowa, jeżeli WPan dasz mojemu Oycu, Bratu i Bratowej, (gdyż się ma żenić) przy tym jej Matce rezydencyą i stół, w którym z swoich Fol-

war-

warkow, tedy z ochotą mu ofiaruję swo-
ią rękę.... a jeżeli nie.

GIERYCHT.

A do tego Lokajowi, Kuczerowi, Po-
kojównie, Kucharce, &c. &c to mi Zon-
ka (*na stronie*) Ja chcę, ażebym ją
miał Gospodynią do opatrzenia domu,
a ta mi każe tyle darmo ziadów karmić.

KAROLINA.

Widzę ja, że to nie nastąpi, zatym z na-
szego Małżeństwa pono nie będzie.

GIERYCHT *na stronie.*

Co tu począć, (*myśli*) Będę przyśta-
wał na wszystko, ale po Szlubie taką jey
zaspiewam piosnkę, że o tey zapomni,
(*głośno*) Mościa Dobrodziko, prawda,
że to jest trochę za ciężko....

KAROLINA.

Komu, WPanu, który posiadaśz tyle
maiątku?

GIERYCHT.

Ach! jak on ciężko przyszedł, ale po-
nieważ inaczey bydz nie może, uczynię
to, o co WPanna tylko mnie będziesz
prosić.

KAROLINA *na stronie.*

O! Nieba, już po mnie.

GIE.

GIERYCHT *na stronie.*

Zie diabła, że mnie oszuka, możeby się potym chciała rozwieść, ale zkąd weźmie na expens?

KAROLINA.

Zabespeczyszże mnie WPan to prawnie?

GIERYCHT *porywcz.*

Prawnie, prawnie, a to zkąd WPan nie przyszło, wy kierowałbyś się, jak widz, nie złe.

KAROLINA.

Jesli to uczynisz, możesz być pewnym moiej ręki.

SCENA X.

GIERYCHT, KAROLINA, LUDWIK,
ALBERT.

ALBERT *wychodząc za Ludwikiem.*

Kochany przyiacielu?

LUDWIK *w pąsży.*

Utraciłeś go odtąd, proszę nie tak mnie nazywać.

GIERYCHT *na stronie.*

Czy ich diabli przyniesli, już byłbym dobył targu. KA.

KAROLINA

Cóż się to znaczy Braciszku, jakaż jest przyczyna niesnasek między WPanami.

ALBERT.

Moćcia Dobrodziko, znaż WPanna to serce?

LUDWIK *z paszki.*

Pełne obludy, którey się nigdy nie spodziewałem ... wychowany w tym domu, razem dzielący rozrywki, a teraz jedna odmiana naszego stanu, od krywa jego podły charakter. Nieprzymuszaj się WPan, poznałem jego zamiary dziś rano.

ALBERT.

Naymilsza Karolino, Niebo i ty druga jesteście świadkami mojej niewinności, i tego, jak mi jest nieznośno to miejsce opuszczać, niechże więc przyczyna tego, tobie tylko wiadoma będzie. Utay to w sobie kochana Karolino... a WPan Mospanie Poruczniku, Inodzie-wam się, iż swego czasu powrócisz mi nazad słodki tytuł przyjaciela (*odchodzi*)

KAROLINA *na stronie!*

Ach! Albert kochanku nieszczęśliwy!

H GIE-

GIERYCHT.

A tu widzę wszyscy powarwiali, poszedłbym o wielki zakład, że jedno drugiego nie rozumie.

LUDWIK.

Cóż to jest, co się to ma znaczyć?

KAROLINA.

Potrzebaż było do jego umartwienia jeszcze się i W Panu przykladać.

LUDWIK.

Wecale tego nie rozumiem.

GIERYCHT.

A co, nie zgadłem, że jedno drugiego nie rozumie?

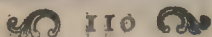
KAROLINA.

Nie, Bracišku, Albert nie jest tak występny, jakim go bydz sądzisz, wkrótce się o tym przekonasz, iż nie tylko nie zasłużył na twoją niełaske, ale nadto wart największego szacunku.

LUDWIK.

Ach! musi to bydz jakaś w tym tajemnica wiadoma W Pannie, proszę cię, wytłumacz się z niey.

KA-



KAROLINA.

Słyszalesz W Pan, że mnie prosił o sekret, winnam mu go dotrzymać.

LUDWIK.

Okrutna... w takowym razie....

SCENA XI.

Ci sami LOTARY.

LOTARY.

Cóż to jest, czego W Pan tak niespokojny (do Karoliny) Walpanna płaczesz?

LUDWIK.

Ach! Mości Dobrodzieju, Albert nas porzucił.

LOTARY.

Jak to?

LUDWIK.

Dopióro co wyszedł.

LOTARY.

Nie widziawszy się nawet ze mną.

LUDWIK.

Ja mu tego nie dopuściłem, myślałem, iż, jeżeli nie moiemi, to przynajmniej

Ha

Pan.

Panny Karoliny perswazyami da się na-
kłonić do odmienienia swego projektu,
lecz gdy tu weszliśmy, bardziey został
nieporuszonym w swoim uporze, i nieba-
wiąc się odszedł.

LOTARY.

Nie powiedziałeż przyczyny?

LUDWIK.

Jest tu w tym jakaś tajemnica, o któ-
rey Panna Karolina jest wiadoma.

GIERYCHT. *do Lotarego.*

Mości Dobrodzieju jest już blisko
dwónastey, chciałbym....

LUDWIK.

Ach! Mości Dobrodzieju, pozwól WPan
Dobrodziey, niech póyde, może jeszcze
nie wyiechał, może go gdzie znajde,
niech go przynajmniey przeproszę za
moją popędlivość?

GIERYCHT *do Ludwika.*

Ey Mospanie, jest to coś pilnieyszego,
życzylbym WPanu nie przerywać, gdyż
to idzie o WPanów majątek.

LOTARY.

Majątek już nie jest moim, czekam tyl-
ko

ko god
zas tak
moim o
go mo
dwika
lzyć,
wiesz,
puszcz
o jedyn
ia, prz
drugie

Nie
domien
ny Al

Ach

Ale
mieć o
liny.

Jaka

Juz
przesz

ko godziny oddania go W Panu, Albert
zaś tak dobrze jest, jak Synem, gdyż pod
moim dozorem wychował się, z utraty je-
go mocnobył był zmartwiony (do Lu-
dwika.) A W Pan nie masz się czego, spie-
szyć, może byś go na próżno szukał,
wiesz, że bez biletu za Bramę nie wy-
puszczą, którego teraz nie dostanie, bo
o jedynastej godzinie Kantor zamyka-
ją, przy otwarciu Kantoru o godzinie
drugiej można będzie go znaleźć.

LUDWIK do Karoliny.

Niechże przynajmniej będziem uwia-
domieni o przyczynie tak nagłej odmia-
ny Alberta.

KAROLINA.

Ach! Braciszku!

GIERYCHT.

Ależ Mości Dobrodzieju, chciałbym
mieć odpowiedź względem Panny Karo-
liny.

LOTARY.

Jakżeś W Pan od niej odebrał?

GIERYCHT.

Jużby była zezwoliła, lecz Ichmość
przeszkodziła.

LU.

LUDWIK *na stronie.*

Co słyszę? ach! domyslam się teraz.

LOTARY

No kiedy jeszcze słowa nie dała, ja jej rozkazuję, ażeby się z nim wstrzymała, aż po zupełnym zaspokojeniu WPańa, już czas bliski, życzyłbym go darmo nie tracić.

GIERYCHT *na stronie.*

Rozumiem, chcę Ichmość na mnie coś więcej wyciągnąć, ale nigdy tego nie-dokażą, trzeba iść poszukać Konsyliar-zow ... Och! gdybym mógł, tobym ich ze skóry poobdzierał. (*odchodzi*)

SCENA XII

LOTARY, LUDWIK, KAROLINA

LOTARY

No Miespanie Ludwiku, nagotuy WPan sobie Surdut, Kapelus, Szpadę, Laskę, są to nasze cale ekwipaże, z któ-remi możemy śmiało wyjechać, przed za-tradowaniem Kamienicy, nakazą nam przyśleć, że po zapadłym dekrete, prócz tego rekvizytu, nic więcej dla siebie nie wzięliśmy, którą śmiało będziemy mogli wy-

wykonać (*Ludwik odchodzi*) ty zaś Karolino weź tylko Salopę swoją, a więcej, uchowaj was Boże, nie nie brać pod żadnym pretextem, żebym czasem nie popełnił krzywo-przysięstwa, gdyż wolalbyśmy ostatecznie kosztować pozbyć się, aniżeli najmniejszą makulą obciążyć sumnienie, które mając czyste... i w to będąc ubogaczonym, nie dbam na ubóstwo, które mnie czeka, człowiek bowiem posiadający największe bogactwa, a nie-mający czystego sumnienia, nigdy się nie może nazwać szczęśliwym.

KAROLINA *całując rękę Lotarego.*

Zachowując nauki dawane nam od tak dobrego Ojca, nie można zbłądzić na krok z drogi sprawiedliwych.

LOTARY.

Cieszę się z tego, że przynajmniej tak trzymasz, ale spostrzegam, że ty nie zachowujesz tych, którem ci dawał.

KAROLINA.

Ach! kochany Ojczy, powiedz mi w czymże się przewiniłam?

LOTARY.

Niewdzięczna Córko, nie poczuwałeś, że się do żadnego występku nie jestże to wy-

występkiem tać swoje przedsięwzięcie przed Oycem? rozumiesz więc, że się nie domyślam przyczyny odjazdu Alberta, nie przyłożyłaś się i ty do niego?

KAROLINA.

Ach! Oycze mój, Albert sam na to zezwolił.

LOTARY.

Nie powinnaś mi była tego oznaczyć?

KAROLINA *kłękając*.

Daruj to, daruj kochany Oycze moje przewinienie, myślałam jednak, że nie wykroczę zachowując sekret, bośmi zachowanie onego W Pana od młodości wpa-

ŁOTARY.

Sekret jest to zamek najsświętszy, i w społeczeństwie ludzkim naybardziej potrzebnym, ale czy może się to nazywać sekretem, co się tyczy mojej i waszej spokoyności.

KAROLINA.

Myślałam, iż uczynię w tym przysługę, czyniąc z siebie ofiarę tę, którą zawzię winna W Panu Dobrodziejowi i Bratu, którego kocham.

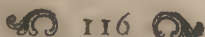
LO-

Mo
nie by
śmier
które
koyny
twien
błąd
byłob
flugi.
tym v

Do
te uw
serca
będę
grodz

Ni
złatw
coś o
wzaie
bydź
czne

Pol
jak u



LOTARY.

Mogłaby ona mi bydz przyjemną,
nie byłoby to dla mnie przyspieszeniem
śmierci, milezby ci było życie z tym,
którego nienawidzisz, mógłbym spo-
koynym okiem patrzeć na twoie umar-
twienie; uważ tedy iakisby w tym razie
błąd popełniła, którego poprawić nie
byłoby w naszej mocy, a zamiast przy-
stugi, czy nie przyczyniłabyś dla mnie
tym większego umartwienia.

KAROLINA.

Dobry Oycze, odtąd przyrzekam, że
te uwagi W Pana Dobrodzieia w gruncie
serca mego zawsze będą zachowane, i
będę się starać ile możności moiej nad-
grozić ten błąd który...

LOTARY.

Nie wątpię o tym, i dla tego ci to
złatwością przebaczam, wspominałaś mi
coś o bracie twoim, kochasz go, i on na-
wzajem Ciebie, a kochając cię mógłby
bydz spokojnym, widząc twoie ustawi-
czne umartwienie?

KAROLINA.

Possiadając jednak rękę Fani, której,
jak uważałam, inaczej nie pozyska...

LO-

LOTARY.

Tak przez wtrącenie ciebie w nieszczęście! Jest to myśl bardzo płonna o twoim Bracie, nie jest on jeden z tych, którzy są gotowi w wszystkich wspól-braci swoich utracić dla dogodzenia swojemu ani-muszowi. Pani Murer jest też kobieta dobrze myśląca, gdyby się więc tak stało, jak sobie ułożyłaś, a ona o tym dowiedziała się, zapewniaby nasz dom na zawsze pożegnała, a tym samym Brat twój utraciłby to, co tak bardzo kocha.

KAROLINA.

Ach! Mości Dobrodzieiu, dopiero o-twieram oczy nad słabością moją, o ileż mnie trzeba doświadczać i zastanawiać się nad każdym zdarzeniem, przetrze-kam więc odtąd, że póki takawe prze-znaczenie, czy mnie, czy W Panu Dobro-dziejowi żyć dozwoli, żadney rzeczy nie będę czynić, nie poradziwszy się wprzód tak dobrego Oycy. (ciągnie rękę)

SCENA XIII.

LOTARY, KAROLINA,
BRYFFTYGIER.

BRYFFTYGIER.

Dwa bilety z Kantoru.

LO-



LOTARY.

Czy Kantor jeszcze otwarty?

BRYFFTYGIER

Przed samym zamknięciem przyszedł jakiś Officer prosząc o Paszport, któremu Sekretarz kazał się zatrzymać, a tym czasem mnie sekretnie z temi Biletami do Pana tu przyśłał.

LOTARY. *biorąc Bilety czyta Adresy.*

Do rąk Pani d' Artur. (mówi:) To jest ręka A berta, odnieś WPanna ten Bilet do Pani Baronowej.

KAROLINA *biorąc bilet.*

Co się to ma znaczyć? (odchodzi.)

LOTARY *drugi bilet rozwija (czyta)*

„Albert Kalen bywszy Chorąży Gwar-
 „dyi, prosi o bilet za Miałto, a choć to
 „nie jest w czasie przyzwoitym, jednak
 „nie odmówiłbym mu tego dla przyja-
 „źni, którą mam z WPanem, ale,
 „że ma mnie bardzo niespokojną, i do te-
 „go prosił, zebym bilet adresowany do
 „Pani d' Artur jutro przesłał, zatym
 „umysliłem uwiadomić, (mówi) bar-
 „dzo za to dziękuję Panu Sekretarzowi,
 „i proszę, ażeby mu biletu nie dawać, a
 jeze-

jeżeli by wyszedł gdzie z Kantoru,
chciej go mieć mój Bracie na oku,
i miej pilność na każde jego ruszenie
się, a bądź pewnym nadgrody.

BRYFFTYGIER.

Bardzo dobrze. (odchodzi.)

SCENA XIII.

BARONOWA, MURER, FANI,
KAROLINA. potym LUDWIK.

BARONOWA.

Braciszku, czego ja się dowiaduję.

LOTARY.

Cóż takiego?

BARONOWA.

Pan Albert nas porzuca.

LOTARY.

Nie ze wszystkim.

BARONOWA.

Ależ wyraźnie pisze do mnie, oto List.

MURER.

Jakazby tego była przyczyna?

LO-

LOTARY.

Zwyczajnie kaprys, i przywidzenie,
ale nie trwóż się W Pani, nie zginie on
nam... (do Karoliny) Czego się W Pan-
na martyczysz, będziesz go miała, za-
ręczam.

KAROLINA.

Ach! ta nowina ożywia mnie cokol-
wiek.

LUDWIK *wchodząc.*

Co to ma znaczyć, wszyscy pomieszani?

FAN I.

JPan Ludwik w Surducie.

BARONOWA.

Ależ wytłumaczcie mi to jaśniej
W Panowie, w Surdutach, przy Szpadach,
czy także dokąd iść myślicie?

LOTARY.

Myślemy pójść sobie, szukać noclegu,
bo ten Dom dla nas dziś będzie zam-
kniętym.

BARONOWA.

To tylko? to jest rzecz bardzo mała,
przed tygodniem o tym wiedziałam, nie-
potrzebnie nas trwogi nabawiliście.

LO...

LOTARY.

Bardzo mała, jak dla WPani, gdyż podług praw gościnności, mając w swoim Pokoju te dwie Cudzoziemki, bezpiecznie możesz po Tradycyi cały tydzień wysiedzieć, i nikt WPani ani słowa nie powie. Ale my z Panem Ludwikiem, i Albert.

BARONOWA.

No, nie turbujcie się WPanowie, zapraszam ich do siebie, to jest do mego Pokoju, będę im wszystkim rada, będziemy się jak mogli mieścili, a jutrzejszego dnia poiedziemy do Zameczku.

LOTARY.

Cóż to WPani mówisz, chcesz, żebyśmy ja z nogami zjedli? alboż nas mało, obierzyno się WPani, a to jeszcze nie wszyscy.

BARONOWA.

Wszystkim będę rada, i spodziewam się, że moją ofiarę zechcecie przyjąć. Łaskawie, co sprawi we mnie ukontentowanie, wspierać mizeraków, przynosi rozkosz czułemu sercu; a cóż dopiero mieć staranie o podupadłej Familij. Bieda więc tym, którzy są nieczuli na upadek niedźnego, nie doznają bowiem tej radości,

ile

ile się doznaie wspierając równe sobie
Jestestwo

FANI do Murera

Kochana Matko, czy nie wartaż jest
ta Familia lepszego losu?

MURER.

Przyznaię, ale ten wkrótce się odmieni.

BARONOWA.

No, jakże, nie mi nie odpowiadacie
na to?... przyłtaicież na mój projekt, czy
nie?... do W Pana, należy odpowie-
dzieć Panie Bracie... WPan zamysliłes
się.

LOTARY.

Cóż ci mam na to odpowiedzieć, czy
nie dosęże masz na tym, że ci lzy za
maie odpowiadaia, Ach! kochana Siostro,
te maie zrzódelko jest dowodem wdzięcz-
ności, którą ku tobie jęstem przeięty.
Serce moje skałiste na naywiększe umar-
twienie i nieszczęscia nigdy nie wzruszo-
ne, twoią dobrocią tak zostało przeięte,
iż pierwszy raz, w życiu moim zdarzyło
się uрониć te kilka łezek... póydzcie ko-
chane Dzieci... póydz Karolino... Lu-
dwiku... odpowiedzcie wy za mnie, bo-
mi już sił nie staie. (Karolina i Ludwik
cátuią w ręce Baronową, Baronowa
ich przyciska)

FA.

FANI.

Co za widok przenikający, Ach! nie
będę dłużej zwłoczyć tego.

MURER.

Wstrzymaj się jeszcze cokolwiek, to
nagle wyjawienie się, mogłoby nasz pro-
jekt zniszczyć.

BARONOWA *Przyciskając.*

Dzieci moje kochane, jakżebyś sobie
życzyła widzieć was szczęśliwemi.

LUDWIK.

Naydując się na Łonie tak dobrej
i łaskawey Ciotki, nie trzeba sobie ży-
czyć szczęścia większego.

BARONOWA.

Zapominasz się Ludwiku, przed go-
dziną słyszałam cię inaczej mówiącego.

LOTARY.

Daruj to mu WPani, gdyż przywią-
zanie i miłość.

BARONOWA.

Ja mu przebaczam, ale może kto in-
szy... (*spoglądając na Fanią*) Ale
nie... za wstawieniem się naszym, spo-
dziewam się... Leczą o czym my to mó-
wie-

nie
wiemy, ta zbyt uczynna radość, jak widzę,
zmyśli mi pomieszła. Panie Ludwiku,
czegoż W Pan stoisz, tak spuściwszy
oczy.

LUDWIK.

Mościu Dobrodziko, uszanowanie nie
dozwala mi.

BARONOWA.

Porzuciłbyś tę modestią *na stronie*.
Teraz czas, kończmy więc interes (gło-
śno: moje Dzieci przyciskałam was dwo-
je do serca moiego, i wielkie mi to spra-
wiło ukontentowanie, cóżbym za to
nie dała, żebym was mogła uciskać ra-
zem czworo. Naprzykład: z Panną Ka-
roliną Alberta, a z Panem Ludwikiem,
kochaną Fani. Pierwsze już pewne, ale
z drugim trzeba się udać do Pani Murer.

LOTARY:

Moia Siostro, jesteś trochę za prędką.

BARONOWA.

A W Pan w takowym razie bardzo
powolny.

LOTARY.

Fani jest zawsze warta lepszego lo-
su, i spodziewam się...

I

FA.

FANI.

Będę się śladzić nayszcześniejszą, jeżeli się stanie godną znaydować w gronie ich Familij.

LUDWIK.

Ach! Pani, jeżeli nie pogardzisz tym, który od pierwszego weyrzenia oddał ci zupełnie serce, oto u nog twoich za-
przyśiędam.

LOTARY.

Stóy Mospanie, nie przyśięgay, żeby czasem przyśięga twoja niebyła daremna, Zapytay się pierwiej Matki, jeżeli na to pozwoli, gdyż wascć nie niemasz.

MURER.

Nie, Mości Dobrodzieju, nie jestem jednego uprzedzenia z temi Matkami, które mniemają, że mogą władać sercami Dzieciannemi, podług swego upodobania. Ja zaś oddaę do woli Fani. Znam jey sposób myślenia, że nie zakłada szczęśliwości swoiey na bogactwach, ale na szczerym przywiązaniu, którego jeśli się ma spodziewać...

LUDWIK,

Ach! Mościa Dobrodziko, możesz się w Pani Dobrodzika o to pytać.

BA-

BARONOWA.

Jeżeli
gronie
Ja ręczę za nim, ma serce nieskazo-
ne, potrafi Zonkę szanować:

MURER.

Zezwalaszże WPanna?

FANI.

z tym
dał ci
h za-
Skoro wola WPani Dobrodziki z tym
się zgadza, ja z całego serca zezwalam.

LUDWIK, całując w rękę Fanią.

żeby
czynam.
emna,
li na

KAROLINA, całując w rękę Murera.

estem
ami,
fer-
upo-
Fani.
e za-
oga-
aniu,

Kochana Matko, pozwól mi się już
tak nazywać, jesteś bowiem nią w ten
moment. Ach! odtąd żadne umartwie-
nie nie będzie miało do nas wstępu, gdy
będziem mieli jej przytomność.

FANI.

Biorąc jednak mnie ubogą?

LOTARY.

z się
A-

Ey Młoscia Panno, wszyscyśmy nie
bogaci... Oy gdyby mój Syn oglądał
się tylko na bogatą, musiałby całe życie
żałować.

BARONOWA.

A otoż i Pan Gierycht z Konsyliarza-
mi...

12

LO.

LOTARY.

Jdą ku ogrodowi. No mój Synu, pójdź pożegnaj się z temi kątami, między którymi się wychował. Ale uchowaj Boże, naymniejszy pokazać smutek.

LUDWIK.

Odtąd nigdy go na mojej twarzy widać nie będzie, gdyż jestem umieszczony w sercu nayulubieńszej mi Osoby.

BARONOWA.

Co za odmiana, z tego ponurego teatryka, tak nagle stał się wesółym.

LOTARY, biorąc za rękę Fani.

Winszuję mu tego, znalazłszy bowiem skarb tak drogi, nie ma się czego smucić, no idźcie Panie do swego Pokoju, a ja tu zostanę na ich spotkanie, Panie Ludwiku! odprowadź swoją Małżonkę. (do Karoliny.) A WPanna bądź dobrej myśli, nasz deserter będzie powrócony, a jak go przyprowadzą, złożemy kryzrecht, w którym ja będę prezydował, i osądziemy go na wieczne więzienie Małżeństwa, jako dezertera od Chorągwi miłości (Karolina odchodzi, całując w rękę Pułkownika.)

LO-

LOTARY sam.

Synu, Dziś dopiero zaczynam być szczęśliwym w gronie ulubionej Familii, prawda, utracam majątek, ale za to znajdę lubą dla mnie spokojność, Synowi przeznaczone miejsce w Kantorze Pollicyiny, jest to urząd dobrze płatny, Albertowi także wystaram się gdzieś o miejsce, bo i czego będzie siedział na karku u Baronowej, a sam wziwłszy pod rękę Murer, jednego dnia do Syna, a drugiego do Córki, choć nie swojej, ale co to ma do tego, ona o tym nie wie, a na letnią rezydencją do Baronowej. Cha, cha, cha, pojąć się nie mogę z radości, że mam Synową tak piękną i cnotliwą, dobrze, że nie jest bogatą, boby na nas i patrzeć nieciała. Ha, o toż nadchodzą.

SCENA XV.

LOTARY, GIERYCHT, DWOCH
KONSYLIIARZY, WOZNY, potym
LUDWIK.

LOTARY.

O witam, witam łaskawych Dobrodzieiow, mocno mię to cieszy, że przynajmniej przy moim tryumfalnym wyjeździe, odwiedziliście swego Przyjaciela.

KON-

KONSYLJARZ Pierwszy.

Pan Pułkownik jest zawsze jednako-
wego humoru, żadne nieszczęście go
nie odmienia.

LOTARY.

Człowiek, który był Żołnierzem lat
trzydzieście, nauczył się wszystkiego
doznawać.

GIERYCHT.

Jednak trzeba mieć kamienne serce,
ażeby się nie martwiło z ostatniego
upadku.

LOTARY.

Skażone serca podpadają takim na-
miętnościom, ale czyście wszystko znosi
wesóło, a do tego więcej mam przyczy-
ny wesołić się, aniżeli smuć, praw-
da miałem dnia dzisiejszego trochę zmar-
twienia, a naybardziej, że mi Albert de-
zerterował.

GIERYCHT.

Martwić się zaś z tego, że jeden dar-
moziad uciekł? ja będąc na miejscu
WPana, dawnobym go z domu wypę-
dził.

LOTARY.

Na to wolę zamilczeć, aniżeli na-
próżno odpowiadać.

KON-

KONSYLJARZ drugi.

Mości Pulkowniku, daruj nam, iż na mocy Dekretu Jurydykcyi wezwowej, przyszliśmy uczynić satysfakcyą JPanu Gierycht.

LOTARY.

Wiem o tym, wiem, i mocno mię to martwi, że tak długo musiałem czekać na WPanów, możecie Waspanowie rozpocząć swoją robotę.

GIERYCHT.

Co za kamienny Człowiek.

KONSYLJARZ pierwszy.

Trzeba, ażeby nas kto oprowadził po całym tym mieśzkanu.

LOTARY.

Moje nogi spracowane na usługach Oyczyny, już są słabe, nie mogę uczynić zażosć ich żądaniom, ale zawołam mego Syna (idzie ku drzwiom do Pokoju Baronowej, i woła) Panie Ludwiku, Panie Ludwiku, a on, jak widzę, nie może się nacieszyć z swoją Zonką (Ludwik wchodzi) No Mospanie, przyśiadłeś się koło Zonki, a o Interessach zapomniawsz, będziesz miał dosyć czasu nacieszyć się do

do woli, a teraz oprowadz Jchmościow po całym Mieszkanu, a ja póyde odpoczną, bo czuję już ból w nogach (*chce odchodzić, i wraca się*) Ale, ale, Mości Konsyliarzu, zabespeczęm sobie podług prawa gościnności nie dłużej, jak na parę dni tę stancyą, gdyż w niej stoją dwie Cudzoziemki.

GIERYCHT.

Ja na to żadną miarą nie pozwalam.

KONSYLIARZ Drugi.

Jeżeli Wpan nie pozwalał, tedy my nie możemy tradować, gdyż Prawo gościnności u nas jest w wielkim poważeniu,

GIERYCHT.

Dość już, dość, niech sobie i cały tydzień siedzą, dam im pokój. (*Na stronie,*) Otoż spuść się tu na nich, po dwanaście Czerwonych złotych wzięli, i jeszcze mało mię nie zgubili.

KONSYLIARZ Pierwszy.

Zkądże zaczniemy?

LUDWIK.

Od tej galeryiki, (*odchodzą wszyscy.*)

SCE.

SCENA XVI.

MACIEY, LORENS, niosą Szkatułę.

MACIEY *mówi akcentem Mazowieckim.*

Zatrzymaj się WPan trochę; bo mi ten przeklęty kuferek rękę urwie.

LORENS.

Już niedaleko,

MACIEY.

Arwon кату, co tu pieniędzy, wszak to nawet Fontanny w Warzawie więcej mieć nie może.

LORENS.

To widzisz.

MACIEY.

Ale powiedzże mi WPan, czy to prawda, co mi WPan mówileś?

LORENS.

A nalicha by mi się zdało kłamać.

MACIEY.

O kiedy tak, to się jeszcze dzisiaj odprawię, i nie pojadę daley; ale czy ona też mi wszystko zapłaci, jak WPan rozumiesz... he?...
LO-

LORENS.

O tym ani wątpię, najmieyszego szela-
ga nie ukrzywdzi.

MACIEY.

Wielka szkoda, dobra to Pani, ale i
cóż robić, wolę się odprawić, aniżeli po-
tym z nią razem wisieć.

LORENS.

Y ja tak mówię. Ale idźmy, bo ktoś
nadchodzi, odchodzą do Pokoju Baro-
nowey.

SCENA XVII.

LUDWIK, DWOCH KONSYLIIARZY,
GIERYCHT, I WOZNY.

KONSYLIIARZ Pierwszy *ogląda-
jąc, Pokoy, pisze w pułaresie*
Przed-Pokoy, w którym drzwi czwo-
ro, jedne z Ulicy, drugie (*pyta się*)
dokąd?

LUDWIK.

Na fale.

KONSYLIIARZ.

A te? (*pokazując na drzwi Kobiet*)

LUDWIK.

Do Pokoju.

KON-

KONSYLIIARZ *Pisze.*

W którym drzwi czworo, jedne z Ulicy, drugie na salę, trzecie do Pokoju, a czwarte na galerię, Okien cztery.

KONSYLIIARZ drugi.

A teraz dokąd się udamy?

L U D W I K.

Pójdziemy na Salę, a potem do Ogrodu
(*odchodzi.*)

GIERYCHT sam.

Czy w tych ludziach diabli siedzą, z taką obojętnością, podają mi swoją Kamienicę, jakby to ich wcale nie obchodziło. Ja myślałem, że ich to nakłoni do oddania mi Karoliny, a oni nawet o tym ani myślą. O gdybym mógł jakiś sposób wynaleść jeszcze do gorszego ich pogwałcenia!
(*odchodzi za Konsyliarzami.*)

S C E N A XVIII.

LORENS *sam wychodząc z Pokoju Baronowej.*

Cha, cha, cha, co to za głupiec z tego Mazura, uwierzył łatwo takim bałamuctwom... ale pomiarkuj się Panie Lorens, dobrzeż to jest, Panią czernić, a
nuż

nuż ona się dowie... To i co... na śmieje się z tego do woli, i koniec na tym; Poczciwi ludzie nigdy nie mają zwyczaju się gniewać, choćby na nich kto co najgorszego gadał... jak się Maciey odprawi, dopióro będę mógł okazać Pani Murer, moją niezmysłoną przychylność, i nadgrodzę błąd popełniony dziś rano. Ale trzeba się spieszyć do koni. (*odchodzi.*)

SCENA XIX.

ALBERT. *sam.*

Nie zostałem nikogo.... do czegoż ten Paszport dla mnie jest wstrzymany, już dotąd możebym był daleko, możebym był już cokolwiek uspokoiony, lecz nie, nie spodziewam się tego, mógłżebym kiedy bydz spokojnym, bez przytomności tej, którą kocham nad życie?

KAROLINA *wybiegając z Pokoju Baronowej.*

Ach! kochany Braciszku, bądź dobrej myśli.... Lecz co widzę WPani, że to. Ach! w tym momencie życie mi tyliąc razy jest miłsze, gdy cię oglądam.

ALBERT.

Zkądże to tak nagle odmiana?

KA-

KAROLINA.

Oto.... Ach!... ciężko mi słowa wy-
mówić....

ALBERT.

Słucham.

KAROLINA.

Fani jest już Żoną Pana Ludwika?

ALBERT.

Cóż dalej?

KAROLINA.

A ja mam być WPana.

ALBERT.

Co słyszę, mogęż temu wierzyć?

KAROLINA.

Mogłabym WPana zwodzić? Ale pódź
(biorąc go za rękę) pódź do Pani d' Ar-
tur, przeproś ją, gdyż WPana odeyscie
mocno ją zmartwiło.

ALBERT.

Zaraz.... zaraz najmilsza Karolino,
niech się cokolwiek dowiem.... Fani i
Murer z łaskością zezwolili na to?

KAROLINA.

Ach! Fani ta cnotliwa Panienska, o-
szukała nas.

AL-

ALBERT.

Jak to, zdaie mi się, iż WPanna mówi-
łaś, że zezwoliła na Małżeństwo z Pa-
nem Ludwikiem.

KAROLINA.

Tak jest zezwoliła, ale czynili się bar-
dzo ubogiem, aż dopióro po przyrzecze-
niu i daniu sobie ręki.

ALBERT.

Cóż więcej?

KAROLINA.

Ach! żebyś wiedział, jakie to Panie
bogate, co one mają pieniędzy, prawdzi-
wie nigdy tyle nie widziała, rachują
teraz Summę na zapłacenie Pana Gie-
rycht, a mnie, patrz WPan, jaki paczek
kleynotów darowała.

ALBERT.

Co ja słyszę? nie wesnież ja to wszystko
widzę? czy nie omamienie? lecz nie....
tak jest, wszystko prawda. Ach! wyisć nie
mogę z podziwienia nad tak nagłą od-
mianą stanu naszego, póđmy kochana
Karolino, póđmy prędzey ucałować te
ręce, które nas wyrывaia z tak wielkiej
przepaści. (odchodzą.)

SCE-

SCENA XX.

LOTARY, LUDWIK, KONSYLIIARZE,
GIERYCHT, WOZNY.

LOTARY *do Ludwika.*

Pokazałeś W Panu wszystko?

LUDWIK.

Jak nayregularniey.

KONSYLIIARZ.

Nim przystapiemy do Exekucyi de-
kretu, należy pierwey przeczytać Akt
Tradycyi. (*czyta*) „Na mocy Dekretu
„zapadłego w dniu dwódziestym czwar-
„tym Miesiąca Septembra, w Sądach Ju-
„rysdykcyi Wexłowej, pod Prezyden-
„cyą JPana Doras Prezydenta Sądów
„Wexłowych i kryminalnych: My Gotlib
„Kirycht, i Krystyan Drynk na instan-
„cyą JP. Gierycht, staneliśmy osobiscie
„w Kamienicy JP. Faulstyna Lotarego
„Pułkownika na Ulicy Szeynestad sytuo-
„waney, do którego dzieła podług Praw
„Miasta tuteyszego Oldenburga dnia
„trzydziestego tegoż Miesiąca przystą-
„piliśmy „ (*Konsyliarz do Woznego*
„*mówi*) *zapytay się.*

WO.

WOZNY.

Nie broni kto Tradycyi tey Kamienicy, po pierwsze?

LOTARY.

Nikt nie broni.

WOZNY.

Czy nie broni kto tradycyi tey Kamienicy, powtóre?

LOTARY.

Nikt nie broni.

WOZNY.

Czy nie broni kto tradowania tey Kamienicy, po trzecie?

SCENA XXI.

Ci sami, i BARONOWA.

BARONOWA *wybiegając z swego Pokoju.*

Stóy WPan, stóy Panie Pułkowniku, Pan Gierycht będzie opłacony.

LOTARY.

Będzie zaś opłacony?

BARONOWA.

Tak, jest.

LUD.

LUDWIK.

O szczęśliwe zdarzenie.

GIERYCHT *na stronie.*

A czy się tu diabli wmieszali, że mi dziś wszystką robotę psują.

LOTARY.

Ale powiedzcie mi, co się to ma zna-
czyć?

GIERYCHT.

Nie ma tu czasu, albo niech będę za-
płacony podług Regestru, albo zezwol
Wpan na tradycyą, bo inaczey formuie
nowy process o kontrawencyą Dekretu.

LOTARY.

Ale...

BARONOWA.

Niemasz tu żadnego ale.. Mości Pa-
nowie, Panie Ludwiku, w sali leżą
pieniądze na stole, idźcie Wpanowie
liczyć.

GIERYCHT.

Póđmy, obaczemy, co to jest: zkađ
tak nagle bogactwo do pięciu tysięcy
czerwonyhc złotych?

BARONOWA.

Nie turbuy się Wpan o nic, nie będzie

K mu

mu i szeląga brakowało. (*Ludwik, Gierycht, Konfilyiarze i Woźny, odchodzą*)

SCENA XXII.

LOTARY, BARONOWA, potym MURER.

LOTARY.

Zmiluy się WPani, wyprowadź mię z tego podziwienia, w którym zostaie. Mogłażby się WPani ukrywać z pieniądzu, gdybyś ich miała, temu wcale mi się niechce wierzyć.

BARONOWA.

Obiaśnić W Pana doskonale nie potrafię, to tylko powiem, iż z owey ubogiej Fani stała się bardzo bogatą. Ale o toż idziej Matka, jaśniej to W Panu powie, a ja muszę śpieszyć do mojej kochaney Kuzenki, (*Do Murer*) zmiluy się WPani, uśmukoy mego Brata, gdyż tak nagła nasza odmiana, humor w nim odmieniła. (*odchodzi*)

MURER.

Spodziewalam się tego Mości Pułkowniku, iż W Pan Dobrodziey nie będziesz bez zastanowienia nad tą odmianą naszego stanu, i dla tego umyslnie wyszłam, ażebym mu pierwszą spokojność powróciła.

LO-

LOTARY.

Wielką mi W Pani Dobrodzika uczynisz w tym łaskę.

MURER.

Uśladźmy (*siadaia*) skracając niepotrzebną Historyę, któraby W Pana, ile w terazniejszym czasie nudziła, opowiem mu tylko samą treść oney. Ta Panienska, która już jest tak dobrze, jak Synową W Pana, nie jest moia Córka.

LOTARY.

Któż więc?

MURER.

Jest to jedna z znanej Familii w calej Holandyi, sześciu Miesiącami przed jey narodzeniem się dostałam się do jey Rodziców, barzo zacnych i czułych, byłam u nich w powazeniu, nie jak Rezydentka, ale jak Kuzynka, nieszczęściem sama Pani, a Matka Fani, wydając te miłe stworzenie na ten świat, pożegnać go musiała. Co się w naszych sercach działo, nie będę opisywać, łatwo to bowiem W Pan możesz przeniknąć, ile także mając czułe serce, Oyciec jey w nieutulonym żalu będąc po stracie czuley i kochającej Zony, oddał mi pod dozór Córkę, a sam udał się do Indyi, gdzie otrzymał Urząd

Rządcy, w dzieście lat po wyjeździe swoim powrócił nazad, i przejęty wdzięcznością, dziękował mi za starania podjęte koło swoiey Córki, mieszkając z nami wyrozumiał Córkę ze wszystkim. W ciągu rezydencyi jego przy Córce, niewiem, dla czego to uczynił, że sprzedał wszystkie dobra Ziemskie, a pieniądze na Banku lokował. Przemieszkawszy lat trzy przynas, przeniósł się do szczęśliwey wieczności, zostawiwszy Córkę swoją Dziedziczką całego pieniężnego i ruchomego majątku. Wyznaczył Testamentem i Opiekunów, ale nie dla tego, ażeby nią mieli zarządzać, tylko, ażeby jey byli we wszystkim pomocą, co obwarował Urzędownie. Pieniądze zaś lokował na Banku, nie pierwey zostawił Pannie Fannie moc rządzenia onemi, aż póki Panna nie póydzie za Mąż, albo nie dóydzie lat trzydziestu, wolność zaś w szafowaniu pieniędzy zostawionych w gotowiznie i obieranie Męża, do jey własney woli zostawił.

LOTARY.

Ach! kochana Pani zmyśli mi przywracasz, jakże się nazywał jey Oyciec?

MU.

MURER.

Olivier Aring.

LOTARY *zdziwiony.*

Aryng? (*na stronie*) Ach czego się ja dowiaduję!

MURER.

Może jest znaiomy W Panu.

LOTARY.

Nie, Mościa Pani.

MURER.

Jakaż przyczyna jest tego poruszenia?

LOTARY. *na stronie.*

Mamże jey odkryć? nie, wtrzymam się jeszcze.

MURER.

Słucham.

LOTARY.

Powieść W Pani Dobrodziki zupełnie się zgadza z wiadomością, którą mieliśmy w Gazecie rok trzeci temu, mam tę gazetę w swoim Kałamarzyku, ale powiedz mi W Pani, kto była z domu jego Zona?

MURER.

Przyznam się W Panu, jestem przy tym do.

domie lat blisko Ośmiastu, a nie przyszło
mi o tym zapytać się.

SCENA XXIII.

LOTARY, BARONOWA, MURER,
FANI.

FANI.

Mościa Dobrodziko, Maciey napiera
się koniecznie, ażeby go odprawić.

MURER.

Cóż mu się stało?

FANI.

Nie tego nie wiem.

MURER.

Więc mu trzeba zapłacić.

LOTARY.

Mościa Dobrodziko, WPani Dobro-
dzika sama ułatwił ten interes, chciał-
bym, żeby Panna Fani ze mną została,
(*Murer odchodząc*) zostań się więc
WPanna.

FANI.

WPan Dobrodziey maż mi co doroz-
kazania?

LO-

LOTARY *zdeymuiąc Kapelusz.*

Łaskawa Dobrodziko, nim zostaniesz
zupełnie moją Synową, przyimiy tę
wdzięczność, którą ci winien jestem.

F A N I.

WPan Dobrodziey mnie zawstydzasz,
Ja bym Sobie życzyła, ażebyś WPan
Dobrodziey używał do mnie wyrazów
tych, które używałeś do swoiey Córki,
a te mi staną za naywiększą wdzięczność,
i sprawi ukontentowanie, wszak już ja
jestem.

L O T A R Y.

Kiedy tak, na wszystko pozwalam.
(*kładzie Kapelusz*) moja Naymilsza Sy-
nowo, przygotuy się na przywitanie
wielkiego mego Przyjaciela Pana Pre-
zydenta Doras, zaraz po niego pójdę.
Jak go poznasz i dowiesz się, co za jeden,
zaręczam, że będzieś kontentą. Ale
zrzuc tę maskę z siebie, a weź stróy to-
bie przyzwoity. No, śpiesz się, śpiesz,
gdyż mi czas nie pozwala dłużej z tobą
bawić się.

F A N I.

Bardzo dobrze Mości Dobrodzieiu. (*od-
chodzi.*)

SCE-

SCENA XXIV.

LOTARY, potym GAMACZ.

LOTARY.

Ani się tego spodziewa moja Synowa,
że się pozna z swoim Wujem, o którym
może i nie wie, że jest na świecie. Ach!
jakież będę miał ukontentowanie widząc
ich poznających się, trzeba po niego po-
śłać, (woła) Gamacz, hey Gamacz!

GAMACZ za Kulifsami.

Mości Dobrodzieiu.

LOTARY.

A śpiesz no się prędzey.

GAMACZ.

Zaraz, dobrze mówię, zaraz, bieży prze-
cierając oczy i potacza się na Pułkowni-
ka, którego Półkownik wstrzymuje, żeby
się nie wyrócił.

LOTARY.

A cóż to ty stary pśie, podobnoś się
upił?

GAMACZ.

Zwyczajnie, dobrze mówię, ja stary,
W Pan stary, to tyż my, dobrze mówię, je-
dno znaczymy.

LO-

LOTARY.

Ale kto ciebie tak upoił?

GAMACZ.

Zwyczajnie, dobrze mówię, pocziwi
ludzie... poszliśmy, dobrze mówię, pod
białego Jelenia z Woźnym, i tam obydwu,
dobrze mówię, żałując nieszczęścia Pań-
skiego, do pięciu butelek, dobrze mówię,
Wina wypiliśmy.

LOTARY.

Poczekay hultaiu, wytrzeźwiej ja cie-
bie, biegay mi natychmiast do Pana
Prezydenta, i proś go do mnie.

GAMACZ.

A uchoway Boże, onby mnie, dobrze mó-
wię, na kark ze schodow zepchnął, gdy-
bym, dobrze mówię, o tey godzinie do nie-
go ważył się kołatać, właśnie Pan nie-
wiesz, dobrze mówię, że od dwónastey,
do trzeciey on zawsze, dobrze mówię, Me-
dytacye zamknąwszy się odprawia, i ni-
kogo, dobrze mówię, do siebie nie puszca.

LOTARY.

Powiedz, że jesteś przyślany odemnie.

GAMACZ.

Nie trzeba mu tego, dobrze mówię, po-
wia-

wiadac, bo on mnie zna, ale dosc Panu,
dobrze mowie, ze nie poyde.

LOTARY *na stronie.*

Widze sprawy z nim nie dojde (gło-
sno) idz mi przynies Swiec.

GAMACZ.

Z ogniem, dobrze mowie?

LOTARY.

A juz ci nie bez ognia.

GAMACZ.

Zaraz (odchodzi.)

LOTARY.

Juzbym tego starego dawno odpedzil,
zebym sie Boga nie obawial... Dobry
czlowiek, ale ma ten nalog przeklety,
zeby musil tylko okazya wydarzyla, to
poty pije, poki sie z nog nie zwali. Trzeba
lepiej bilet napisac do Prezydenta. (sia-
da i pisze zlotywszy Bilet) co on sie tam
bawi (wola) Gamacz.

GAMACZ.

Dobrze mowie, biege (wbiega ze Swie-
ca potacza sie i upada) Oloz malz, do-
brze mowie, tak to zawlze bywa z pospie-
szney

szney,
dobrze

Boda
klęty!

Zar
gi raz
zapisu
swiec
kam,
nie mo
w tym

W t
ich oc

Ta
czach
Swiec
LO

W
wie,
ten

szney, dobrze mówię, roboty, a do tego,
dobrze mówię, podłoga tak nierówna.

LOTARY:

Bodajcie kaci porwali, ty opoju prze-
klęty!

GAMACZ

Zaraz, dobrze mówię, zaraz pójdę dru-
gi raz (*Pulkownik składa bilet i Adres
zapisuje, Gamacz tym czasem szuka
świecy, ale się podnieść nie może.*) i szu-
kam, dobrze mówię, i szukam, a znaleźć
nie mogę. Jeszcze do tego, dobrze mówię,
w tym Pokoju tak ciemno.

LOTARY:

W twoich oczach, ty Bałwanie, w two-
ich oczach, nie w Pokoju.

GAMACZ.

Tak jest, dobrze mówię, w moich o-
czach, założyłbym się dziś, że i Pan tey
Świecy, dobrze mówię, nie widziś.

LOTARY *podnosząc go z ziemi po-
rywcz.*

Wstań już ty przemierzły, dobrze mó-
wię, bo mi cierpliwości nie staie, na, weź
ten bilet i odnieś go Panu Prezydentowi,
a nie

a nie zapomniy gdzie, na ulicy wywrócić się.

G A M A C Z.

Będę pamiętał, dobrze mówię. odchodzi.

SCENA XXV.

LOTARY, dwóch KONSyliARZY,
GIERYCHT, WOZNY.

KONSyliARZ.

Mości Pulkowniku JPan Gierycht jest zupełnie zaspokoionym, nie brakło ani szeląga, oto masz WPan Dobrodziey Kwitacyą ze wszelkich pretensyi, która jest potwierdzona Urzędową pieczęcią, i naszych rąk podpisem.

KONSyliARZ drugi.

Mocno z tego jesteśmy Kontenci, że się na tym skończyło, nie mamy tu nic więcej do czynienia.

LOTARY.

Dziękuję WPanom za poniesioną ich fatywę... pójdę odwiedzić moje kąty, których mi opatrność przywróciła, bom się już był na zawsze z niemi pożegnał, chcę odchodzić.

WO-

Win
ni

Dzie
proszę
tak, że

Będz
Dobroc
piliśmy
dę spr
go Je
Y p
Ze l

Dob
weźmi
dzieści
unizor

Pan

Nie

WOZNY *klaniaiąc się.*

Winzuję Panu pomyslnego ukończenia.

LOTARY.

Dziękuję ci mój Bracie, dziękuję, ale proszę drugi raz moich ludzi nie poić tak, żeby się aż z nog walili.

WOZNY.

Będziemy się lepiej miarkować Mości Dobrodzieiu, pierwey tylko we dwóch piliśmy, i to żalując Pana, a teraz pójdę sproszę moich Kollegów Pod Białego Jelenia.

Y popiłem się wszyscy z radości,
Ze Pan tak dobry został przy swoiey własności.

LOTARY.

Dobrze Panie Wozny, bardzo dobrze, weźmiesz tam sobie na moje konto dwadzieścia butelek wina, (*do Konsyliarzy*) unizony sługa WPanow.

KONSYLIA RZ.

Pan Gierycht pójdzie z nami?

GIERYCHT.

Nie pójdzie.

KON.

KONSYLIARZ.

Więc tu zostanie?

GIERYCHT *w pafsyi.*

Tak, zostanie, proszę mi nie przeszkadzać.

KONSYLIARZ *do drugiego Konsyliarza.*

Zwaryował nieborak, i pieniądze wziął, i jeszcze niekontent. Zostawmy go samego, (*do Gierychta*) Weselźmy go humoru życzymy (*odchodzą*)

GIERYCHT (*śm.*)

Obejdzie się bez tego życzenia, mnie mało diabli nie biorą, a on mnie weselszego humoru życzy... A czy tu wszyscy diabli wniesli tę przekłątą babę z swoją Córką i z pieniędzmi, takie mi śliczne projekta pomieszała, że przyiść do siebie nie mogę. Obiecywałem sobie mieć i Zonę, i Kamienicę, a tu ani tego, ani owego, (*ściągwszy zęby*) Ach! wściekłość mię napada, ależ, ile możności mogę, będę się starał zemścić na nią, choćbym miał te wszystkie pieniądze utracić, co teraz odebrałem... Coby to zrobić? (*myśli*)

SCE-

S C E N A XXVI.

GIERYCHT, MACIEY.

MACIEY *wchodząc rachuje pieniądze.*

Dwanaście, 13ście, 14ście, 15ście, 16ście, 20ście i 4ry. A to jeszcze widzę nadto, 3, 6, 9, 10. Day go katu, co za wspaniała Dufza, dzieśnięć Dukatow nadto.

GIERYCH *zamyślony,*

Gdybym się mógł przynajmniej dowiedzieć, co ona za jedna.

MACIEYT *postrzegając Gierychta chowa pieniądze do kieszeni.*

Kto?

GIERYCHT.

O to ta Kobieta, co tu dopiero dziś przyjechała.

MACIEY.

A cóż mi WPan dałz, to mu może i powiem.

GIERYCHT.

Alboż ty wiesz, kto ona jest?

MACIEY.

Tak ją znam, jak WPana samego... bo ją od samey Warszawy wiozę...

GIE-

GIERYCHT.

Czy ona z Warszawy?

MACIEY.

Nie, wcale nie, przejeżdżała tylko przez nią. Gdzie jej kuczer zachorował, że nie mógł daley ją wieźć, oddała go do Marcinkanek, a mnie prosiła, ażebym ją podwiozł, póki albo inszego nie dostanie, albo Krystyan nie ozdrowieie, który miał pocztą za nią przyjechać.

GIERYCHT.

Taką rzeczą nie musiz wiedzieć, zkad ona jest, i co za jedna?

MACIEY.

Jakbym to ja niewiedział, kiedy mi nad zgodzony Jurgielt naddała dzieścię Dukatow, a to tylko dla tego, ażebym przed nikim nie powiedział, co ona za jedna.

GIERYCHT.

Dzieścię Dukatow na utaienie prawdy?

MACIEY.

Oy tak, tak Mospanie.

GIE.

GIERYCHT.

A to musi być jakaś podeyrzana Kobieta?

MACIEY.

Ha! .. to tyż to...

GIERYCHT.

Gdybym się mógł dowiedzieć.

MACIEY.

No, kłaniam W Panu, nie mam czasu dłużey bawić.

GIERYCHT.

Zaczekay, zaczekay mój Przyjacielu...

MACIEY.

Cóż mi W Pan masz powiedzieć?

GIERYCHT.

Czy ty jeszcze u niey służył?

MACIEY.

Możebym i służył, żebym się nie był wywiedział o ich postępach, bo też prawdę mówiąc, nie miałem krzywdy, alem się obawiał, żeby i mnie razem z niemi, jak czasem złapią, nie powiesili.

GIERYCHT.

Co, żeby nie powiesili?

L

GIE-

MACIEY.

Tak jest, Oy! bo nie żarty.

GIERYCHT.

Móy Przyjacielu, naż ci Dukata, a obia-
śnij mnie w tym jaśniej.

MACIEY.

Co zaś! Dukata na wyjawienie praw-
dy, na której pokrycie dostałem dzie-
cięć, a żartujesz sobie Wpan.

GIERYCHT.

Móy kochany, dałbym ci więcej, ale
że nie mam przy sobie ... a onaż dając
ci te dziejące Dukatow, prosiła, ażebyś
o tym zamilczał.

MACIEY.

Ona jakby o tym niewiedziała, ale
się musiała domyślać i poznać z moiej
miny, co ja myślę.

GIERYCHT.

No, móy kochany, proszę cię, powiedz
mi, naż ci nareście dwa Dukaty, bo
przyśięgam, że więcej nie mam.

MACIEY.

Nó i cóż mam robić?

GIERYCHT.

Słucham.

Ale

MACIEY.

Ale czy nas kto nie podsłuchuje.

GIERYCHT.

Prawdę, mówisz... zeydźmy na stronę.

MACIEY.

O to tak: powiadał mi jey Lokay Lorens, że ta Kobieta jest bardzo podłego gatunku, i jey Mąż był taki: Mieszkali oni, nie pamiętam, w jakimści Miście, i trzymali oberżę; O! kto tylko do nich zaiechał, tak mu zaraz nożem po gardle, a pieniądze do kieszeni, otoż to tym sposobem przyszli do tak wielkich pieniędzy, potym sprzykrzywşy sobie z Mężem życie, otrula go... Już to Zwierzchność była dowiedziała się o jey sprawkach, i chcieli capnąć do kozy, aż ona dwóma dniami pierwey zemknęła, i już półtora roku, jak się błaka po świecie, boi się, ażeby ją nie schwytano.

GIERYCHT.

A prawdaż to?

MACIEY.

Tak, jak WPana podziwiego tu przed sobą widzę, ale zmiluy się WPan nie rozgłoś tego przed moim wyjazdem,

bo się boję, żeby mnie z nią razem do kozy nie wzięli, *odchodzi.*

GIERYCHT sam.

A... Jakież to z ciebie śliczny ptaszek moja Pani... brawo mocno jestem kontent z tego zdarzenia, o poczekaj Panie Pułkowniku, w jednym momencie miałeś się stać bogatym, aż ci się nie udaie, (*mysli*) trzeba zaraz iść zwożować nadzwyczajną sessyą w Sądach Kryminalnych... tak... nadzwyczajną, boby to baba mogła się czasem dowiedzieć i zemknąć, będzie to mnie cokolwiek kosztowało, ale też za to jako Delatorowi połowę zkonfiskowanych od niego rzeczy, koniecznie mi musi być przysądzono, a zgnębiwszy babę, mandat Pułkownikowi, że przeciwko prawu trzyma podeyrzane osoby w swoim Mieszkanu, a tak Pan Pułkownik nie spostrzeże się, jak z Kamienicy wyleci. O szczęśliwe zdarzenie, ale nie traćmy czasu (*spogląda na Zegarek*) Godzina pierwsza, na trzecią sama pora będzie.

Koniec Aktu drugiego.

AKT

AKT TRZECI.

SCENA I.

BARONOWA, LOTARY,

BARONOWA.

Cóż Braciszku, zdarzenie dzisiejsze podobno warte jest byź wpisany w Kroniki; ktożby się mógł spodziewać, ażeby w ten moment, kiedy miałeś byź wyrzutkiem z swego Mieszkania, zostałeś się przy nim, a to bez najmniejszey o nic więcey obawy. Cóż, dowiedziałeś się, zkąd oni mają tak wieki Małatek?

LOTARY.

O wszystkim, i przyznam się W Pani, że mocno jestem kontent z tego zdarzenia.

BARONOWA.

Ale powiedz mi W Pan, czego się tak zmieszaleś wtedy, kiedym W Pana o tym uwiadomiła.

LOTARY.

Odmiana tak nagła stanu tych Cudzoziemek, mocno mię załstanowiła, i gdyby nie Relacya Pani Murer, wątpię bardzo, jeżelibym chciał przyiąć te dla mnie Dobrodzieystwo, wolałbym raczey zostać bez najmniejszego sposobu, aniże-

li

li posiadać naywiększe bogactwa, a zle nabyte.

BARONOWA.

Taką rzeczą nie jesteśmy jeszcze zupełnie uwiadomieni, gdyż relacya Pani Murer może bydź Falszywa.

LOTARY

Nie, moja Siostro, jestem przekonany, że jest nayrzetelniejsza.

BARONOWA.

Jakaż tego pewność?

LOTARY *dobywając z kieszeni Gazety i listu, List chowa za kamilę, a gazety oddaje.*

To mnie przekonywa, czytaj WPani ten Punkt.

BARONOWA *bierze Gazetę i czyta:*

„Z Hagi dwónastego Februarii Olivier Aryng Obywatel znaczny, który „przez Lat dzieścię w Indyi sprawował „Urząd Gubernatora, po powrócie swoim przemieszkawszy lat trzy w Hollandyi przy córce, dnia wczorayszego „zszedł z tego świata, majątek swój wynoszący do stu tysięcy Czerwonych „złotych Holenderskich, lókowany na „Banku, prócz gotowizny, zostawił swojej Córce Imieniem Fani, mającey do „pióro lat szesnaście, która była wychowana pod dozorem wszędzie tu poważa-
ney

„ney, i powłzechną estymacyą mającey
„kobiety nazwiskiem Murer. (mówi)
Ach! czego ja się dowiaduję, więc Mu-
rer nie jest Jey Matką.... o co tego to ni-
gdy nie daruję.

LOTARY.

Czymże WPani jesteś przez to po-
pokrzywdzona?

BARONOWA.

Tak zaś mnie oszukiwać. Mijam to, iż
się tała przedemną, że jest majątną, ależ...

LOTARY.

Moja Siostra tą twoią! popędliwością
wstrzymujesz mnie od wyjawienia ci
nierównie większego sekretu, który w
naszym domie od lat blisko dwódziestu
jest tajnym, i WPani o nim nie wiesz.

BARONOWA.

Od lat dwódziestu, w WPana domie?

LOTARY.

Tak jest, tak mościa Pani, nie tylko
WPani nie wiesz o nim, ale nawet Pan
Ludwik i wszyscy domowi jesteście w o-
mamieniu.

BARONOWA.

W omamieniu zaś?

LOTARY.

Ale tak, nie inaczej w omamieniu, jeże-
li więc mi Siostra przyrzecze, że się o
to

to nie urazi, to teraz wyiawię iey ten sekret, i podam sposob wcale niewinny do oszukania Fani za to.

BARONOWA.

Tajemnica od lat dwódziestu.... jakizby miała wpływ do niey Fani, która dopióro dwa tygodnie, jak nasz dom poznała?

LOTARY.

Oy! ma, Mością Pani, i wielki ma wpływ, gdyż nad spodziewanie nawet swoie, znayduie tu Wuja i Siostrę Wuieczną.

BARONOWA.

Wuja i Siostrę Wuieczną? a to domnie-
zniejszenia żartowali sobie ze mnie, gdyż
nawet teraz, jak się pytałam, czy ma ja-
kich Krewnych, odpowiedziała, że nie
ma żadnego.

LOTARY.

Nie mogła cię uwiadomić, bo podo-
bno i sama o tym nie wie.

BARONOWA.

A któż W Panu powiedział? pewnie
Murer.

LOTARY.

Wcale nie.

BARONOWA.

Może który jey służący?

LO-

LOTARY.

Zaden.

BARONOWA.

Ale zmiłuy się WPan oświeć mnie
w tym?

LOTARY.

Y jakże, można kiedy mi WPani przez
swoie pytanie tego nie dopuszczasz?

BARONOWA.

Zaraz, ty: ko się o co spytam; znamże
ja jej Krewnych?

LOTARY.

Tak, jak mnie samego, a co większa.
Siostrę Fani na swoich rękach wychowa-
łaś.

BARONOWA.

Ja zaś?

LOTARY.

Tak jest.

BARONOWA.

Ktożby to był, proszę W Pana?

LOTARY.

Mniemana moja Córka Karolina.

BARONOWA.

Karolina zaś.... Karolina? ale cóż to
znaczy, zdaie się, że WPan sobie żarciki
robisz ze mnie?

LOTARY.

Nie, Mościa Pani, nie mysl WPani tak
o mnie, gdyż miałbym to sobie za wystę-
pek

pek żartować, ile z tak dobroczynney
Siostry.

BARONOWA.

Ale zmiłuy się WPan, jakże mam ina-
czej myśleć. Karolina w przytomności
mojej rodziła się, po śmierci WPana Zony
a jey Matki, całe sześć lat u siebie ją
chowałam, i dziśbym nawet przysięgła,
że to ta sama, a nie inna.

LOTARY.

Ta sama, która się u WPani wyhodo-
wała, ale nie ta, która się przy niej ro-
dziła. Chciey mnie tylko cierpliwie po-
słuchać, będziez uwiadomiona, ale u-
siądźmy, bo mię coś nogi bolą (*siadaia*)
wiadomo WPani, jaki upor miała Nie-
bołszczka moja Zona, że kiedy się przy-
czym uparła, koniecznie na swoim mu-
siała postawić. W rok po urodzeniu się na-
szej Córkę, dostałem Ordynans iść z mo-
im Regimentem na zimowe kwatery do
Hunny, moja Zona naparła się koniecznie
jechać z całym Dworem, na co musiałem
zezwoić.

BARONOWA.

Pamiętam, cóż daley?

LOTARY.

Niemowlątko zaś moje, to jest: Karo-
linka musiała podlegać tymże niewygo-
dom

dom, które i my ponosiliśmy, a tak odmiana powietrza, śloty, dżdże, były przyczyną jey śmierci.

BARONOWA.

Więc WPana Karolinka umarła?

LOTARY.

Jeszcze w drodze. Ale chciey WPani słuchać końca cierpliwie, jeśli chcesz dowiedzieć się o tym Dziewczęciu, bo inaczej wątpię, ażebym powieść skończył, jeśli mi swemi pytaniami będziesz prze-rywać.

BARONOWA.

No, słucham już.

LOTARY.

Gdyśmy staneli u Hunny, zaraz nazajutrz po naszym przymaszerowaniu spotykam idącego człowieka przez Miasto, a na jego rękach to miłe stworzenie, które dziś mieysce moiey Córki zastępuje, poznałem z pierwszego weyrzenia, że jest nie prostej kondycyi, na twarzy Jego okazywał się jakiś żal i wstyd, którego dochodzić tego momentu nie zdało mi się rzeczą potrzebną, a widząc po nim, że potrzebował wsparcia, zaprosilem go na obiad do siebie, na co on chętnie zezwolił. Zona moja uyrzawszy jego dziecko, a mając w świeżey pamięci swoją Córeczkę, prawie jednego z nią wie-

ku

ku, porwała na ręce, i zaczęła rzewnie płakać. Ja widząc moiej żony przywiązanie do tego dziecka, prosiłem tego Jegomości, ażeby u nas chciał kilka dni rezydować, za którą propozycją odebrałem od niego tysiąc błogosławieństw, i zamiast kilku dni, mieszkał przy mnie więcej pół roku, przez który czas moja Zona i ja, tak przywykliśmy do tego dziecka, że z ciężkością by nam było odpuścić ją od siebie. Co poznał jey Oyciec, a widząc nasze ku niej przywiązanie, oddał ją nam za Córkę, z warunkiem tym jednak, ażeby się na jey wzrost mógł zapatrywać, czego mu nie mogliśmy zabronić, a ponieważ nam Imie Karolina zawsze na myśli było, ciężko się więc było przyzwyczaić do jey własnego Imienia.

BARONOWA.

Jakież jey Imie właściwe?

LOTARY.

Klarysa.

BARONOWA.

No, słucham końca.

LOTARY.

W lat pięć potym Zona moja umarła, ja zaś nie mając zręczności trzymać ją przy sobie, poradziłem się z jey Oycem, i ode-

i odesłałem do WPani, a reszta jey wiadoma.

BARONOWA.

Ale...jakże o tym Pan Ludwik niewie?

LOTARY.

Jakże miał wiedzieć, kiedy po odjeździe WPani od nas, zaraz go odesłałem do Korpusu Kadetow, który nie powrócił do mnie, aż po moim Abszycie. Mogę się spodziewać, iż mi Siostra zechce darować, żem to przed nią utail?

BARONOWA.

Byleś WPan obowiązany to taić...

LOTARY.

Nie żałujesz WPani tego, żeś jey swóy majątek zapisała?

BARONOWA.

Jak teraz, to bynajmniey, gdyż choć nie jest moią Synowicą, przez cnotliwe jey sprawowanie się zasługuie na to, ale bardzobys nieśluszenie zrobił, gdybyś przez to taienie ofiercił był swego Syna, który powinien bydz Sukcesorem mego majątk!

L'ARY.

Myslałem był to swego czasu odkryć, i mniemałem, że Pan Ludwik też, którą kochał jak Siostrę, po odkryciu tego sekretu, będzie miał z niey Zonę, ale późniey

Żniew postrzegłem wecale inną skłonność Karoliny, nie mogłem więc rzeczy przeistoczyć, gdyż inaczej musiałbym, albo rozłączyć dwoie amantów szczerze kochających się, albo wydrzeć jej to, co WPani już byłaś determinowaną jej zapisać, jedno byłoby tyranstwem, a drugie niesprawiedliwością.

BARONOWA.

Przyznaję, że to jest prawda, ale dla czegoż WPan pozwoliłaś dnia onegdajszego, kiedyś przyznawała Dokument, Panu Ludwikowi ustąpić swojej połowy, którą dla niego ...

LOTARY.

Jego w tym wola była, a zatym nie chciałem się w to mieszać, a potym miał już przeznaczone dla siebie wiadome jej miejsce, a choćby i nie miał, jako Męszczyzna, mógłby sobie lepiej poradzić, aniżeli Dziewczyna.

BARONOWA,

Mysl sprawiedliwa... Ale powiedzże mi WPan, jakimże sposobem domyslał się, że Fani jest jej Siostra, i co go w tym przekonywa?

LOTARY.

Muszę WPanią, jak widzę, ze wszystkim uspokoić, czytaj WPani ten List, (dobywa listu z zakamizelki, i daje

rozłożony) a sama się przekonała i razem dowiesz się, kto to jest jey Oycem.

BARONOWA czyta.

„ List W Pana pisany z Hrabstwa Oldenburskiego dnia onegdajszego odebrałem, po którego przeczytaniu, siadam i odpisuję, o Żenie W Pana wcale się dowiedzieć nie można, powiadała, że we trzy Miesiące po ucieczce W Pana opuściła Rotterdam, i nie wiedząc, gdzie się podziała, postępek W Pana jest przyczyną śmierci jey Siostry, a ulubioney mi Zony, która gdy odebrała o nim wiadomość, tak nią została przerażoną, iż nawet nie chciała przyznawać się, że byłas jey Bratem, kazała utaić swoje Nazwisko, o co i przy skonaniu prosiła. Piszysz W Panu, że Córką się jey Opiekuje jakiś Cnotliwy Obywatel, którego Nazwiska nie wymieniasz, jabym zaś żyć czył, ażebyś ją przywiozł do mojej Córkę, która jest pod dozorem zacney Wdowy Murer, lecz jeżeli W Pan będzie tak upartym, że niezechcesz się dać na to nakłonić, życzę się tedy tym nazwiskiem, jakim się teraz zowiesz, nazywać do śmierci, a ja zaś będę się starał zapomnieć, że miał

„ miał kiedy Szwagra. *Olivier Aryng.*
 „ P. S. występek WPana, jak można, tak
 „ jest taionym. Zona moja jak nayso-
 „ lenniej prosiła, ażeby nawet przed Cór-
 „ ką nie wydawać, z jakiego jey Matka
 „ pochodziła Domu, życzę, niech Nie-
 „ ba na niego będą łaskawe, ja zaś pono-
 „ szę żal nieznośny z utraty ulubioney
 „ mi Zony, która jedynie z alteracyi
 „ przeniosła się do szczęściwey wiecz-
 „ ności. (*Składa list*) Któżby to był taki,
 (*czyta na Adresie,*) Do Rąk JPana
 Doras Ach! co widzę Doras... Pan Pre-
 zydent ma bydź jey Oycem.

LOTARY.

Ten sam.

BARONOWA.

Ten Starzec tak Cnotliwy i poważany
 od wszystkich, cóż to jest, jakiby on
 występek popełnił, że go nawet Szwa-
 gier wyrzeka się?

LOTARY:

Zapomniałaś Siołtro, co w liście piśze.

BARONOWA.

Ach! prawda) uciekł od Zonki, może
 była nieznośna dla niego?

LOTARY.

Y tak nie powinien był tego czynić,
 gdyż Matzeństwo jest węzłem naywięk-
 szym, który... Ale co jey mam to tłu-
 ma-

macz
 stan,
 Zonę
 biete
 słabej
 z on
 Niew
 li, t
 go h
 Zony
 wyst
 przeł
 Gdy
 Mam
 zabr
 jakie
 ryfse
 tą
 doką
 noc
 kim
 wfty
 cony
 próc
 wiv
 wyb
 mog
 mus

maczyć, gdyż WPani sama znała ten stan, i jego obowiązki, Doras zaś miał Zonę, jak sam mówił, bardzo złą Kobietę, i kochającą jego, ale sam był słabego umysłu, mający nadto jeden z onych Charakterów, które sztuczna Niewiasta do swoiey łatwo nakręci woli, takiey się dał powodować, która go łudziła i namawiała do porzucenia Zony, byłby prędzey ten przebrzydły występki wykonał, gdyby nie Córka przeszkadzała, którą kochał nad życie. Gdy tedy Klarysa mogła obeyść się bez Mamki, umówił się z tą Kobietą, i zabrawszy swoje Kleynoty, Pieniądze, jakie tylko mógł mieć, porwał Klarysę i puścił się w drogę z tą Kobietą w jey pojeździe, a sam niewiedział dokąd. Po dwóniedzielney podróży, zanoceowali w jedney Oberży, ale w jakimże został podziwieniu, gdy obudziwszy się rano, uyrzał się byż ogółconym ze wszystkiego, co tylko miał, prócz Klarysy, która mu pozostała. Strawiwszy więc na próżno kilka tygodni, wybadywając się o tey nierządnicę, a nie mogąc się nigdzie o niey dowiedzieć, musiał wziąwszy Córeczkę iść o żebrzącym

M

nym

nym chlebie, gdyż nie miał śmiałości do swej Zonki powrócić.

BARONOWA.

Ach! Mój panie, nigdy bym się tego po nim nie spodziewała.

LOTARY.

Nie stroszy go o nic, dość go Sumienie strofuje od tego momentu, jak się został ze mną, i jak go poznałem, nigdy nie widział wesołego, zawsze smutny, a bardzo często sam widziałem, że miał zapłakane oczy, rozumiałem z razu, że tego smutku przyczyna była jego niedostatek, i zarekomendowałem go na Urząd Sekretarza do Policyi, który stopniami, postępując wyszedł na znacznego człowieka, ale temperament jego wcale się nie odmienił.

BARONOWA.

Dla czegoż nie potechał do Szwagra? piszę do niego, ażeby Swoją Córkę oddał mu na wychowanie.... Może czasem Wpan. mu tego wzbronilesz.

LOTARY.

O niczym nie wiedziałem, bądź Wpan. ni pewna, że gdyby mi nie był o tym uwiadomił, byłbym go swoim expensem odesłał. Dopiero po śmierci Pana Aryng, kiedyśmy dostali tę wiadomość, opowiedział mi swoją Historję, i ten list mi podał:

pro-

proszę
mnie

Ale
wiek?
i Kry
wielki
u jego
dząc w
przeci
Pałace

Y w
rekom
syą d
chody
ce je
co za
pośta
rzeczy
zbyło
rozda
podup

A,
mnie,
do W

Ow
cunek

prosząc, ażeby razem z tą Gazetą był u mnie w złożeniu.

BARONOWA.

Ależ powiedz mi W Pan, co to za człowiek?... będąc Prezydentem Wexlowym i Kryminalnym, to jest Urząd bardzo wielki, oraz zyskowny, a jakeśniby byli u jego z wizytą, ażem się zdziwiła widząc w jego Pokoju Kapucyński porządek, przecież to niższej klasy Konsyliarze Pałace sobie pokupowali...

LOTARY.

Y w tym ja uspokoję. Gdym go za rekomendował na Sekretarza, brał Pensyą dość znaczną, oprócz tego, miał dochody, prosił mnie tedy, ażebym zbywając jego pieniądze odbierał do siebie, na co żadną miarą niechciałem zezwolić postanowił tedy u siebie najmnieyszej rzeczy nad potrzebę nie mieć, i co tylko zbyło odnieuchronney potrzeby, wszystko rozdawał na ubogich, albo na wsparcie podupadłych.

BARONOWA.

A, o toż idzie W Pana dezerter, prosił mnie, ażebym wniosła za nim instancją do W Pana.

LOTARY.

Owżem ten jego postępek większy szacunek ziednał dla niego, wart jest tego.

Mz

SCE-

SCENA II.

BARONOWA, LOTARY, ALBERT.

ALBERT.

Mości Dobrodzieiu, Panna Fani prosi o pozwolenie...

LOTARY.

O pozwolenie?... o jakie?... Panna Fani może sobie postępować, jak jey się podobą... ale to tylko pretext.... powiedz mi WPan lepiej, jak mu się powodziło w podruży?

ALBERT *klękając.*

Ach! Mości Dobrodzieju, wyznaię to, że zaśluzylem....

LOTARY.

Na to, ażeby cię kochano, odbierzże to, co ci się należy. Wstań WPan, za tę przychylność, którąś okazał ku mnie, masz wdzięczność moją w nadgrodzie.

ALBERT.

Ach! Oycze mój, za tę dobroć twoją, gotowbym....

BARONOWA.

No! dość już tego, powiedz nam WPan, o co Fani prosiła?

ALBERT.

Ażeby mogła mieć pozwolenie weyść do Pokoju Jchmościow.

BA-

BARONOWA.

Fani zaś o to prosiła! cóżby to miało
znaczyć?

LOTARY.

Był to tylko pretext, ale mnieysza
oto Mospanie Albert, wiesz jednak WPan,
iż dezercya w nayniewinnieyszey myśli
popelniona, zawsze ściaga na siebie karę.
Jako Przyjaciel WPana, za WPana ku
mnie przychylnosc, zostawiam mu win-
ny szacunek, ale jako Pułkownik nie
wchodząc w kognicyą, muszę Chorążę-
go ukarać.

ALBERT.

Z rąk WPana Dobrodzieia naywiększą
karę gotów jestem ponieść.

LOTARY.

Bardzo dobrze, o toż za te przestępstwo
nie będziesz miał z moich rąk Karoliny.

ALBERT *na stronie.*

O Nieba! zgubiony jestem.

LOTARY.

Cha, cha, cha, no no, nie mieszay się,
możesz ją ieszcze mieć, ale ja przyśięgam,
że ci jey nie dam.

ALBERT.

Któż może mieć Prawo do Córki WPana
Dobrodzieia, *na stronie.* Ach to no-
we umartwienie.

BA-

BA-

BARONOWA.

A WPanże mówiłeś, iż naywiększą
karę gotów jesteś ponieść....

ALBERT.

Mościcia Dobrodziko...

LOTARY *podchwytni*ąc.

Nie spodziewałem się, żeby miała bydz
tak sroga, wszak to miałaś mówić... Ale
dajmy jemu pokoy, posłałem już dawno
po Pana Prezydenta, nie wiem dla czego
go tutaj długo nie widać, może czasem
mój Gamacz położył się spać, proszę
WPana, uczyni mi tę łaskę.

ALBERT.

Po Pana Prezydenta Doras?

LOTARY.

Tak jest, prosz go WPan, niech będzie
łaskaw, a odwiedzi nas dziś, przed wie-
czorem przynajmniej...

ALBERT.

Bardzo dobrze.

BARONOWA.

Y razem uwiadom Panne Fani, że mo-
że śmiało weyść.

ALBERT *odchodząc*.

O Nieba! co ja to cierpię. (*odchodzi*)

SCE.

SCENA III.

LOTARY, BARONOWA.

LOTARY.

Cha, cha, cha, jak zalterowany poszedł, żal mi go prawdziwie....

BARONOWA.

Ale WPan przyśląłeś, że nie wydasz Karoliny za niego.

LOTARY.

Wcale co innego powiedziałem. Mówilem tylko, że nie z moich rąk będzie ją miał, gdyż w samey rzeczy oddam ją dziś pod rząd Oycy. Jednak to mnie zastanawia, Fani tu przyjechała, czy nie umyślnie ona tu zabłądziła? może jej Oyciec czasem powiedział o Wuju?.. Ale trzeba się zdaleka wywiedzieć. A otoż i ona sama.

SCENA IV.

LOTARY, BARONOWA, MURER,
FANI ubrana, KAROLINA,

LOTARY.

O tak, Mościa Panno, tak WPannie trochę przyłstojniey, dość już świat oszukiwać. A gdzież jest Pan Ludwik? nie masz to go razem....

MU-

MURER.

Miał posłać po nasz pojazd, tylko co odszedł.

F A N I.

Pan Albert wyszedł ztąd bardzo pomieszany.

BARONOWA.

JPanna Karolina coś smutna.

MURER.

Cóżby to miało znaczyć?

F A N I.

Mości Dobrodziciu, daruj mi, iż się ośmielam prosić.

LOTARY.

O cóż to, i owszem, rozkaż tylko, a nie nie masz pod słońcem, cobym WPannie odmówił.

F A N I.

Pan Albert wyszedł zalterowany, Panna Karolina smutna, jabym sobie życzyła, ażeby odtąd w tym domu nigdy umartwienie miejsca nie miało.

MURER.

Zapobiedz umartwieniom nie jest w ludzkiej mocy, zatym o to WPanna prosić nie możesz.

LOTARY.

No, no, wiem ja o co Panna Fani chciała prosić, zaręczam wam moje Panie, iż naydalej za pół godziny, większa radość

na-

naślapi

K

Ach

Dos

twien

wzysk

na me

Kobie

pytał

(siad

miar b

rowi,

przycz

determ

chać,

Za

szuka

te już

dzieia

go sol

To

Al

potrz

wiecl

slivi

naśtąpi, aniżeli się wszyscy spodziewacie.

KAROLINA. *całując w rękę.*

Ach! Oycze mój!

LOTARY.

Dość już, przestań się smucić, umar-
twiem trochę Alberta za to, że on nas
wszystkich zmartwił, ale uspokojmy się
na moment. WPanie sobie iako podeszłe
Kobiety rozmawiajcie z sobą, a ja będę
pytał o niektóre rzeczy moją Synową.
(*siadać*) Powiedz mi WPanna, jaki za-
miar był jey wjazdu, nie mówię Kawale-
rowi, a do tego majątnemu, to jest rzecz
przyzwoita, ale Panience tak młodey,
determinować się w tak daleką drogę, je-
chać, to jest rzecz bardzo niebezpieczna.

FANI.

Zamiar mój nie inşy był, jak tylko
szukać prawdziwego ukontentowania, a
te już znalazłam w domu W Pana Dobro-
dzieia, gdyż znalazłam Męża, podług me-
go sobie życzenia.

LOTARY.

To jest, ubogiego?

FANI.

Ale cnotliwego, takiego mi też było
potrzeba, gdyż jestem sama dość majątna,
więcby mnie majątek mniej ulczę-
liwił.

LO.

LOTARY.

Y dla tego wozować tak daleko?
Czyż w Holandyi nie masz cuot'liwej
młodzieży, którzy sądziliby się szczęśliwe-
mi, posiadać jey wdzięki i majątek?

F A N I.

Ja myślę, że na całym świecie jest wię-
cey posiadających dobry charakter duszy,
niż innego gatunku. Ale ja mogłabym
przeniknąć, co się w czym sercu dzieje?
i gdybym w Holandyi lat trzydzieście
siedziała, nigdybym Męża nie miała.

LOTARY.

A to dla czego?

F A N I.

Za majątnego nigdybym nie poszła,
to było moim postanowieniem, z mier-
nym majątkiem i wcale bez majątku nie-
odważyłby się o mnie starać, a choćby się
który i ośmielił, mogłabym się przeko-
nać, co bardziey kocha, czy mnie, czy mój
majątek, trzeba więc było użyć tego for-
telu, który mi się lepiej udał, niżelam
myślała, szukałam bowiem Męża, które-
gom chciała uszczęśliwić, a znalazłam
dla siebie ukontentowanie, jakiego w ca-
łym życiu nie doznałam.

SCENA V.

LOTARY, BARONOWA, MURER,
FANI, KAROLINA, GAMACZ.

GAMACZ.

Mości Dobrodzieju, Pan Prezydent, do-
brze mówię, dziś byź nie może.

LOTARY.

A to czemu?

BARNOWA.

Co to jest, czego się ty tak trzęsiesz?

GAMACZ.

Ach! Mości Dobrodzieju, dobrze mó-
wię, wielkie zamieszanie czeka w naszym
domu.

WSZYSCY.

Zamieszanie?

LOTARY.

Co to jest? co za zamieszanie?

GAMACZ.

O to, dobrze mówię, wszystkie żółto-
brzuchy walą się do W Pana Dobrodzieja,
dobrze mówię, z karabinami, z dzidami.

BARNOWA.

Co ty gadasz, co tu mają robić te?...

LOTARY.

Co W Pani uważasz, pijany jak Bela.

GAMACZ.

Oy nie pijany, dobrze mówię, tam kto-
by

by był, dobrze mówię, napiański, to by
się wytrzeszył na ten widok.

SCENA VI.

Ci sami, LUDWIK.

LUDWIK.

Ach! Mości Dobrodzieju, co się to zna-
czy, nasz dom otaczają Żołnierze
Mieysey.

LOTARY i BARONOWA.

Nasz dom? (wszyscy pomieszani)

MURER.

Nie wiadomoż przyczyny?

LUDWIK.

Ach! kochana Fani.

KAROLINA.

A Pan Albert nie powrócił?

LOTARY.

Biegay W Pan Panie Ludwiku, spytay
się, co to znaczy.

SCENA VII.

LOTARY, BARONOWA, MURER,
FANI, KAROLINA, GAMACZ,
LUDWIK i ALBERT.

ALBERT.

Mości Dobrodzieju, nam co pomówić
z W Panem Dobrodziejem. BA.

BARONOWA.

Braciszku, niech Pan Albert tu powie...
co się to znaczy, co to jest, WPan Blednieisz?

LOTARY.

My już jedną składamy Familią, nie-
maż WPan co tać, powiedz WPan ra-
czey, co to za zamieszanie.

GAMACZ.

A co, dobrze mówię, nie mówiłem, a
zaraz Gamacz, dobrze mówię, piiany jak
bela.

ALBERT.

Otoż nadchodzą
WSZYSCY

Zołnierze?

SCENA VIII.

Ciż sami, KONSYLIA RZ, INSTY-
GATOR, UNTER-OFFICER, czterech
ZOŁNIERZY, dwóch z dzidami.

KONSYLIA RZ.

Mości Pułkowniku, daruy nam WPan,
iż tak nieprzyzwolicie do niego wcho-
dziemy, chciey nas w tym mieć za wymó-
wionych, gdyż takie jest żądanie Stro-
ny powodowey.

IN-

INSTYGATOR *podając Mandat.*

Mandat od Juryzdykeyi Kryminalney.

LOTARY *rozwijając.*
Przebóg! z czarną Pieczęcią. *(czyta)*
O! Boże.

BARONOWA.

Komuż to?

KONSYLIARZ.

Podróżney, która jest w domu Ichmo-
ściow z Córką.

WSZYSCY.

Pani Murer.

MURER.

Mnie?

KONSYLIARZ.

Tak jest Mościa Pani. Dom zaś Pana
Pułkownika jest otoczony wartą, ażeby
z niego najmniejszey rzeczy nie wy-
niefiono. Pan Pułkownik ma także znay-
dować się przy Inkwizycyi, ta zaś War-
ta z Instygatorem zostaną się w Pokoiach.
Ządał Pan Gierycht koniecznie tego, a-
żeby ta Pani z swoją Córką przez Miasto
przez Pacholkow były prowadzone.

MURER.

Ja przez Pacholków?

KONSYLIARZ.

Tak jest, ale Sąd na to nie pozwolił,
że chcesz W Pani Dobrodzika pokazać
wszystkie papiery, jakie się u niego tylko
mo-

mogą znajdować, które mam kompor-
tować do Sądu, a W Pan Mospanie Insty-
gatorze popieczętuy wszystkie drzwi w
w Kamienicy, a naybardziej miey pil-
ność, żeby w czasie niebytności Pana
Pułkownika, jaka swawola nie stała się
przez Żołnierzy, za co byłbyś w odpo-
wiedzi. *do Murer.* No, chodźmy Mościa
Dobrodziko.

MURER.

Bardzo chętnie.

LOTARY *wstrzymując Konsyliarza.*

Mospanie Konsyliarzu, Pani Murer sa-
ma przyniesie, jakie tylko ma papiery.
Zaręczam W Panu, że nie potrzebuie
straży koło siebie.

KONSYLIARZ.

Nie wątpię o tym. (*do Żołnierzy*) A
wy możecie się rozeyść (*do Instygatora*)
W Pan zaś rozpoczynay swoją robotę
(*Żołnierze się rozchodzą, Instygator
zaczyna drzwi pieczętować*)

LOTARY.

Co za podła dusza ten Gierycht.

F A N I.

Ale co oni ma do nas?

LUDWIK.

Och! nigdy mu tego nie daruję.

AL.

ALBERT.

Gdyby mi przyszło życie utracić, zem-
ścić się nad nim.

KAROLINA z płaczem.

Ach! kochana Fani.

LOTARY.

Czego WPanna płaczysz? czyście serce
żadnego Sądu lękać się nie powinno.

BARONOWA.

Ależ mój Braciszku, Ja sama do siebie
przyiść nie mogę.

LOTARY.

A czemu Panna Fani nie na to nie u-
waża, choć jest także przypozwana.

F A N I

Ja się z tego wszystkiego śmieję, gdyż
wiem, że ten, co nas zapożywa, sam
siebie będzie się wstydził.

KONSYLIARZ.

Nie dość na tym, jeżeli nie dokaże te-
go, co zadaie, naysurowiey będzie ka-
rany.

BARONOWA.

Chciey WPan nam powiedzieć, o jaki
kryminal oskarża Panią Murer?

LOTARY.

Tego się WPani teraz nie dowiesz.

SCE-

SCENA IX.

Ciż sami, MURER *wchodzi z Papierami zakwefioną, po którey wyściu na scenę, Instygator drzwi pieczętuje.*

MURER.

Otoż są wszystkie, jakie się tylko u nas znajdują.

KONSYLJARZ *przegląda*

Jest ich sztuk trzy (*chowa za Surdut*)

LOTARY.

No, idźmy, nie traćmy czasu, bo tam muszą nas czekać. Panno Karolino, i Wpanna z nami pójdiesz. Ale z jakąż paradą pójdziemy!

BARONOWA.

Y ja się tu sama nie zostanę, idźmyż razem. (*odchodzą, Kobiety biorą się pod ręce.*)

GAMACZ.

Oto, dobrze mówię, po parze, po parze, a z tyłu dwa, dalibóg, dobrze mówię, iak do Szlubu i nas tu dwóch dobrze mówię zostało. No, Mospanie, skończyłeś Wpan, dobrze mówię swoją robotę?

INSTYGATOR.

Już ze wszystkim:

GAMACZ.

Y czegoż mamy dobrze mówię, na

N

pró-

próżno czas trawić? O to pójdźmy do-
brze mówię, pod białego Jelenia.

INSTYGATOR.

Z całego ferca bym to uczynił, ale
żadną miarą nie mogę.

GAMACZ.

Idźmy więc dobrze mówię, do mojej
Stancyi, to tam poszlemy sobie dobrze
mówię po parę Butelek Wina, dobrze
mówię, dostałem od Prezydenta Talara,
to też go dobrze mówię, i stopiemy we
dwóch.

INSTYGATOR.

Od Pana Prezydenta Doras?

GAMACZ.

Tak jest, Oy dobry to Pan, dobrze mó-
wię, nigdy człowieka nie odpusci, żeby
czego, dobrze mówię, nie dał.

INSTYGATOR.

To i owszem, Panie dobrze mówię, pój-
dziemy.

SCENA X.

Teatr okazuje izbę Sądową, w tyle krata, za którą
stół nakryty suknem, Prezydent Doras siedzi w końcu sto-
łu za stołem kilku Konfilyjarzy, w drugim końcu sto-
łu Sekretarz; nad kratą wiszą firanki do załaniania
kół

koła podczas namowy, przed kratą taboret, na którym
miecz, z obu stron teatru ławki.

GIERYCHT. DORAS, SEKRETARZ,
KONSYLJARZE, WOZNY.

SEKRETARZ.

Mospanie Gierycht, nie maszże W Pan
tu kogo usunąć z tego koła, które się ze-
brało na Inkwizycyą Pani Murer.

GIERYCHT.

Y owszem proszę o pozwolenie.

SEKRETARZ.

Kogoż to?

GIERYCHT.

Pana Prezydenta

KONSYLJARZE *wszyscy*
z obruszeniem.

Pana Prezydenta?

GIERYCHT.

Tak jest.

SEKRETARZ.

Jakąż W Pan masz tego przyczynę?

GIERYCHT.

Jest przyjaciелеm Pana Pułkownika.

KONSYLJARZ.

Ale czy jest też W Pana Nieprzyacie-
lem? gdyż Pan Prezydent jest każdego
naywiększym przyjacielem.

N₂

GIE-

GIERYCHT.

Ten, który jest przyjacielem szczególnym Pułkownika, przez to samo staie się moim głównym nieprzyjacielem.

KONSYLJARZ.

Ja Imieniem całego tu zgromadzenia oświadczam, iż wszyscy jesteśmy przyjaciółmi Pana Pułkownika.

KONSYLJARZE *wszyscy powstając.*

Przyznaiemy.

KONSYLJARZ.

Więc wszyscy powinniśmy być usunięci.

GIERYCHT.

A któż będzie sądził. (*na stronie*) A czy mnie tu wszyscy diabli wniesli.

D O R A S.

Mospanie, nie myśl W Pan tego, żeby u Sędziego pprzyjaźni brata pierwszeństwo sprawiedliwości. Sędzia bowiem roztrząsający spory między stronami, bierze na siebie postać Boską, więc starać się powinien być mu podobnym, jeżeliby zaś mógł się gdzie znaleźć taki, który bardziey unosi się prywatą, niż słuszością, nie wart jest, żeby go nawet ziemia nośła, ale ponieważ W Pan inaczej myślisz, wynaydę więc środek zostawienia go w tej mierze przekonany, tylko się pierwey naradzę z memi współ kolegami.

dzwo-

(*dzwo-*
łania
GI

A c
począ
wa, al
się by
liska
ja wy
pienia
żeli m
da m
naleś
mną
czał.
cóż z
cyi. W
nych

Sąd za
G

KON
Na
WPan
Fira

(dzwoni) zaślonic firanki (Woźny za-
stania całe koło, sam uśiada koło kratek.

GIERYCHT zbliżywszy się ku
Parterowi.

A czy mnie wżyscy diabli nadali roz-
począć tę Sprawę, wiem, że sprawiedli-
wa, ale cóż. czy oni są takimi, jakimi
się bydź powiadają, zwyczajnie, każda
ludzka swój ogon chwali.... Oy! żebym to
ja wygrał, dopiórobym się posmarował
pieniązkami tej Babki, ale broń Boże, je-
żeli inaczej póydzie, to ja zginę, jak ru-
da myśz... Trzeba tu jakiś środek wy-
naleść. (myśli) Zeby się ona chciała ze
mną pogodzić. Ha! tobym może i mil-
czał. A jeżeli nie zechce, to... Ale i
cóż zrobić, ztąd niema żadney Apella-
cyi. Wielka szkoda, żem jey do potocz-
nych Sądów nie zapozwał.

SCENA XI.

Sąd za Firankami, WOŻNY przy kracie.

GIERYCHT, LOTARY,
KONSYLIARZ.

KONSYLIARZ spogląda na kratki.

Na namowę wzięli, zatrzymay się
WPan, ja póyde do koła. (odchodzi za
Firanki.

GIE.

GIERYCHT *na stronie.*

Otoż jest, trzeba z nim trochę pomówić. (*głośno*) Kłaniam Mosci Pułkowniku.

LOTARY.

Unizony sługa WPanu.

GIERYCHT.

A co Mospanie, założyłbym się, że WPan przed półgodziną nie wiedziałeś o tym, że się tu będzieś znajdował.

LOTARY.

Prawda, ja bym też założył się, że i WPan nie wieś, gdzie się za pół godziny będzieś znajdować.

GIERYCHT *na stronie.*

Oy! coś ostro odpowiada zapewne Sąd przekupił. Czemu ja sam z tym Konsyliarzem nie poszedłem. Ach! co za głupia bestya ze mnie. Ale nie traćmy serca, (*do Lotarego*) Mospanie, mnie się zdaie, że lepiej jest tyłkąc razy żyć w zgodzie, aniżeli się kłócić.

LOTARY.

Dla tego też przez całe życie z nikim się nie kłóciłem, aż dopióro na starość muszę.

GIERYCHT *na stronie.*

Coś zmiękczał, postąpmy dalej (*głośno*) Spodziewam się, że i teraz przedstawiam się kłócić. Ponieważ tedy Ta Sprawa,

wa, k
równ
się da
stapie

Y n

Od
niema
ugoda
tuły.
nie z

Stu
nawe
niey
wolę
zeli p
iącą
cierp
nie)

Pr

Sh
mi si
SE
Dekr

wa, którą rozpoczoł, i WPana powinna
równie obchodzić, zatył na pogodzenie
się day mi Córke swoją za Zonę, a u-
stąpię processu.

LOTARY.

Y nic więcey?

GIERYCHT.

Od WPana więcey nie żądam, bo nie-
niemasz, ale co ta Pani, ieżeli się zechce-
ugodzić, to musi diabelnie potrząść szka-
tuly. Oy! bo ja nie dudek, mnie byle czym
nie zbyć.

LOTARY.

Słuchayże ty podły człowieku, niechcę
nawet wiedzieć, iaką małż do mnie i do
niey pretensye... widzisz ten miecz, oto
wolę poddać kark swój pod niego, ani-
żeli patrzeć na cnotliwą dziewczynę ży-
jącą pod Jarzmem tego, którego świat
cierpieć nie może (*tu słysząc dzwonie-
nie*)

WOZNY odstawiając franki.

Proszę się uciszyć.

GIERYCHT *na stronie.*

Słuchaymy, co tam będzie. Ach! coś
mi się łytki trzęsą.

SEKRETARZ idzie do kratek, czyta

Dekret.

„Ru 179. N. Miesiąca N. dnia N.

„ My

„My Prezydent i Konsyliarze, będąc wo-
 „kowanemi na Sessyę nałzwyczajną od
 „JPana Gierycht do Sali kryminalney,
 „znaydując się w komplecie przyzwoi-
 „tym do wysłuchania Inkwizycyi i za-
 „decydowania kary na przejeżdżającą
 „przez Miasto Oidenburg Cudzoziemkę
 „nazwiskiem Murer i z iey Córka, a po-
 „nieważ JPan Gierycht nie ma zupełne-
 „go zaufania w naszym komplecie, za-
 „tym, chociaż to, iest przeciwko po-
 „wszechnemu zwyczajowi, my onemu
 „bydź przytomnym przy tey Inkwizy-
 „cyi nakazujemy, a dla uczynienia o-
 „bóm stronom przyzwoitey satysfakcyei,
 „z strony pomienionej Cudzoziemki
 „JPana Faustyna Lotarego Pułkownika
 „przeznaczamy (Pułkownik się kłania)

DORAS

Teraz WPan możesz bydź w nas za-
 ufanym (do sługi.) Niech wniydzie ta
 Cudzoziemka.

GIERYCHT.

Pierwey Jey Córka niech będzie słucha-
 ną gdyż ta Baba lis szczwany może się
 wykrećć.

DORAS.

Pozwalam, niech więc weydzie jey
 córka (Wołny odchodzi.) Tym czasem,
 nim

nim F
 pierg
 ławka

Ci
 nia fi
 wsta

Pr
 do F
 tu, n
 na j
 strze
 ten p

N
 wyn
 dać
 na r
 pod
 moi

B
 posz
 stu

C
 kog

nim Fani weydzie. Sekretarz składa Pa-
piery, Lotary i Gierycht siadaią na
ławkach.

SCENA XII.

Ciż sami, FANI wchodząc kła-
nia się Sądowi, między Sędziami po-
wstaje rozruch.

DORAS.

Proszę o głos (Sędziowie uciszają się
do Fani.) Mościa Panno, znaydując się
tu, musisz odpowiadać Panu Sekretarzowi
na jego zapytania, ostrzegam jednak
strzedz się najmniejszego fałszu, gdyż
ten prędko będzie poznany.

F A N I.

Nigdy usta moje nie kłamliwego nie
wymówiły, na wszystko będę odpowia-
dać iak nayprawdziwiey, pierwey iednak
na nic nie odpowiem, aż póki mój list
podróżny nie będzie przeczytany w
moiey przytomności.

DORAS.

Bardzo dobrze. Mospanie Sekretarzu,
poszukay między temi papierami tego li-
stu (podaie papier.)

GIERYCHT.

Obaczemy, co to będzie za list, i przez
kogo podpisany.

SE-

SEKRETARZ. bierze papier i czyta
a *na wierzchu notę.*

„Series lokowanych wexlow bankowych
na Summę sto tysięcy Czerwonych zło-
tych poddanych do Kancellaryi w depo-
zyt przez JPaną Milka adwokata. &c. „

GIERYCHT.

Sto tysięcy Czerwonych złotych, day
go katu, piękna Summa.

SEKRETARZ bierze drugi papier.

„Extrakt Testamentu w Bogu zesłego
Oliviera Aryng. „

DORAS porywa się.

Oliviera Aryng? ach! co to znaczy?

GIERYCHT.

Nie przeryway WPan, czekaymy koń-
ca, szukay WPan listu Mości Sekretarzu
(*na stronie*) już chciał skreślić.

SEKRETARZ czyta,

„List podróży JPanny Fani Aryng. „

DORAS.

O Nieba! to ona sama.

GIERYCHT.

Co za ona?

DORAS.

Mości Vice-Prezydencie! Panie Sekre-
tarzu, kończcie WPanowie czytać, bo
ja dłużej wytrzymać nie mogę. (*wybie-
ga z za kratak, i pada na szyć Fa-
ni*)

ni.) O naysmilsza Siostrzenico! uściskay
Wuią twego.

F A N I. *w podziwieniu,*
WPań jesteś moim, wuiem?
G I E R Y C H T.

Jey Wuy! a to z kąd się Wzięło? (do
Sekretarza) Proszę o ten list (Sekre-
tarz mu podaje, Gierycht, czyta i mie-
sz się.)

F A N I.,
O zdarzenie nayszczęśliwsze.
L O T A R Y.

Spodziewałem się tego.
DORAS (*bieży do Pułkownika w nays-
większej radości, i ściska się.*)

Kochany przyjacielu! zkażże u ciebie
znayduję się ten skarb, którego w ży-
ciu moim nie spodziewałem się widzieć.

G I E R Y C H T przeczytałszy list.
Zgubiłem się.

F A N I.
WPań moim Wuiem! niewiedziałam,
nawet o tym, że mam gdzie krewnego.

DORAS *nie posiadając się z radości.*
Stulźnie ci to taiono... dowiesz się
o wszystkim. Ach! gdybym miał ten
list, który Oyciec WPanny do mnie piłał!

L O T A R Y.
Mogę go pokazać?

L O T A R Y.

D O R A S .

Ach! proszę o to.

LOTARY oddaie list i gazetę.

Oto jest.

DORAS podaiąc list Fani.

Czytaj ten list kochana synowico, a dowiesz się przyczyny taienia ci tego, że masz Wuia; ale nie bądź W Panna na mnie tak froga, iak byli jey rodzice.

FANI czyta list i całuje podpis.

Ręka Oycy mego, nie więcej niechcę wiedzieć, już przekonana jestem, oraz nayszczęśliwszą

D O R A S .

Gdzież jest ta cnotliwa kobieta, gdzie jest ta Mureś, pod któręj dozorem wychowaną byłaś. i która ma powszechną eltykę w całej Holandyi.

LOTARY.

Czeka na galeryi, gdyż to ona jest przypozwaną przez P. Gierycht.

D O R A S .

Onaż to? .. Ach proście jey! niech się przekona ten! .. (spogląda na Gierychta z miłą pełną wzgardy) kogo zapozwał. (Woźny odchodzi) Mości Vice-Prezydencie! czytajcie W Panowie ten punkt w gazecie, a uwrzycie iż ta wiadomość zgadza się z listem podróżnym

żnym. (Idzie za kratę i podaje gazetę Vice-Prezydentowi.)

GIERYCHT.

Wpadłemże ja teraz, jak szczer w łapke; oboż co moja złość i łatwowierność narobiła.

SCENA OSTATNIA.

Wchodzą wszyscy, MURER zakwestiona.

FANI *biegnąc do Murera.*

Ach! Mościa Dobrodziko! nad spodziewanie moje, znalazłem tu Wujka mego.

MURER.

W Panna masz Wujka? czemuż ja o tym nie wiedziałam (*odstania kwief.*)

DORAS.

Taż to, niechże ją poznam (*pozierając jeden na drugiego*) O Boże! (*rzuciła się na Ławkę.*)

MURER.

Ach! (*pada zemdlona, Albert i Ludwik utrzymują moment milczenia*)

LUDWIK.

Coto jest?

ALBERT.

Co to ma znaczyć?

BARONOWA.

Maż to bydz jey Maż?

FA-

F A N I.

Pani Murer moja Wuienka?

LOTARY *podnosząc Doras.*)

Już wiem o wszystkim, dość już, nie dopuszczay Jey w tym stanie dłużey zosta-
wać.

DORAS *porywa się.*

Ach! czegoż się ociagam *pada do nóg*
Murer, iak długi) O Dorys! ... najmil-
sza Dorys, ty Małżonko moja, którey ja
weyrzenia nie jestem godzien, przebacz
mi... daruy mi.. oto u nog twoich wi-
dzisz, nie Męża, ale zbrodnia upokorzo-
nego.

MURER *przychodząc do siebie*
łabym tonem.

Gdzież jest, gdzie się podział? (*postrze-
ga u nog Męża*) O Lors! ty żeś to jest
kochany Małżonku?... wstań już... wstań,
pozwol mi się uściśkać.

DORAS *powstając.*

Znalazłemże cię tak łatwą do odpu-
szczenia?

MURER.

O niczym nie wiem, o niczym niepa-
miętam, proszę, ażebyś z twoiey strony
nie wspominał mi o tym, a będę się sądzić
nayszczęśliwszą.

KAROLINA *do Pułkownika.*

Ach! Mości Dobrodziewu, nie wiem, co
to

to jest, ten widok, wielkie we mnie sprawa pomieszanie.... Ach! serce me nadzwyczajnie bić zaczyna.

LOTARY.

Dowiedz się wkrótce przyczyny tego.

DORAS *do Fani*.

Mościa Panno, nad spodziewanie swoje podobno znaydowałaś się pod opieką swojej Wuienki. (*do Murer*) Ale do czegoż ci kochana Dorys było przybierać inżne Imie. Ja musiałem to uczynić, przybrałem więc twoie Imie, a te mi było pociechą w moim u martwieniu.

MURER.

Przestańmy o tym mówić, przestańmy już.... Ach!.... czy mogę się zapytać?.... Nie.... nie odważę się, ażeby czasem ta radość, którą teraz doznaię, nie była zamienioną....

DORAS.

Domyslam się resztę.... Chcesz się pytać o Klarysę.... Mości Pułkowniku, ja na to odpowiedzieć nie potrafię.

LOTARY.

Więc ja W Pana w tym wyręczę (*do Karoliny*) Moja kochana Klarysso, dość już ciebie oszukiwać, ja ciebie tylko wychowałem, a to są twoi Rodzice.

MURER.

To moja Klarysa.

KLA-

KLARYSSA raz do Oycy, drugi raz do
Matki odwraca się.

To mój Oyciec, . . moja matka! . . .
ach! siły utracam. (w największym po-
ruszeniu pada oślabiona, Lotary i Ba-
ronową wstrzymują.

MURER bieży do córki.

O córko moja! teraz jestem zupełnie
szczęśliwa.

KAROLINA całując wrękę Oycy
i Matkę.

Mogęż temu wierzyć?

D O R A S.

Kochana Klarysso, oszukując ciebie,
serca twego nie mogliśmy oszukać.

LUDWIK.

Przyść do si bie nie mogę. Więc Ka-
rolina nie jest moją Siostrą?

KAROLINA.

O Matko moja! o Oycze mój! (do Pot-
kownika) Mości Dobrodzieiu, może tym
co wykraczam przeciwko WPanu Dobro-
dzieiowi.

D O R A S.

Niczym, owszem winnąię mocno so-
bie tego, że mi się wydarzyła okazyja od-
dania WPanny Jey rodzicom.

BARONOWA.

No, Mości Panowie młodzi, teraz na
WPa-

WPanó
nasz uk

Nie,
się, że
no Far
duiesz
wiku,
gi Wu
odmów

Nie
zorem
Córka,

Otoż
ga pog
tki. (C
(do Al
idźcie
zeli się
LU
Łask

Chci
szczęśli

Most
nią, mu
podoba

WPanów kolej, gdyż to zdarzenie cały nasz układ zniszczyło.

M U R E R.

Nie, Mościa Dobrodziko, spodziewam się, że wszystko pójdzie pomysłnie. Panno Fani, teraz WPanna zupełnie dependujesz od Pana d' Orli. Mospanie Ludwiku, Albercie, macie jeden Oyca, a drugi Wuia, spodziewam się, że wam nie odmówi.

D O R A S.

Nie Naymilsza żono! Fani pod jej dozorem wychowana, Klarysa jest twoją Córką, zatyń obydwie do niej należą.

B A R O N O W A.

Otoż spór niepotrzebny, ja was Obojga pogodzę. Córką słusznie należy do Matki. (do Fani) WPanna zaś do Wujka. (do Alberta i Ludwika) a WPanowie idźcie każdy zosobna prosić o swoją, jeżeli się wam uda, będę im winiszowała.

LUDWIK całuje Dorasę w rękę.

Łaskawy Dobrodzieju!

ALBERT do Murera.

Chciey się Pani przyłożyć do mego uszczęśliwienia!

D O R A S.

Mospanie Ludwiku, Fani jest sobie Panią, może więc sobą rządzić, jak się jej podoba.

O

FA-

F A N I.

Nigdy jeszcze sobą nie rządziła, by-
łam dotąd posłuszną moiej Wuience, ale
kiedy nad spodziewanie moje znalazłam
Wuię, pod jego rząd zupełnie się oddaę.

DORAS *bierze ich za ręce i łączy.*

Kiedy tak się W Pannie podoba, życie
więc szczęśliwie.

LUDWIK.

Kochana Fani (*ciągnie w rękę.*)

KAROLINA *do Murer.*

Mościa Dobrodziko!

MURER.

Moja Córko, od dawna, jak widzę, jeste-
ście dla siebie przeznaczeni. Jeżeli tyl-
ko o to idzie, ażebyś z moich rąk była
tę oddaną, niechże i tak będzie.

ALBERT.

Teraz się widzę być najszczęśliw-
szym.

BARONOWA.

Mój Braciszku, cóż my tu znaczymy?

GIERYCHT.

W Państwo znaczący Ludzi najszczę-
śliwszych, ile mając serce tak pięknie u-
tworzone. Ale ja co tu znaczę?.. Mości
Prezydencie kończ więc Sprawę... Po-
znaię, że jestem niegodzien znaydować
się w społeczności uczciwych ludzi, pod-
daę

daię się pod Sąd, i chętnie przyimę
karę, jaką z decyzji waszey wypadnie.

D O R A S.

Ja od dziś dnia składam mój Urząd,
który piastowałem nienagannie. Mości
Vice-Prezydencie, zdaię go WPanu, za-
cznij tedy WPan swoją Prezydencyą od
naszey Sprawy.

Vice PREZYDENT.

Odbieram go z podziękowaniem z ręki
WPana Dobrodzieja. Będę się starał bydz
mu podobnym. Ale ponieważ jest to dzień
ostatni Prezydencyi WPana, zechceśz
więc bez najmnieyszey wymówki sam
jeden wydać decyzją w Sprawie Pana
Gierycht.

D O R A S.

Z ochotą Panowie Kolledzy zezwala-
ią na to?

KONSYLIARZE.

Pozwalamy.

D O R A S.

A Pan Gierycht przystaie?

GIERYCHT.

Całym sercem.

D O R A S.

Usiądźmyż na mieyscach (do Wo-
źnego) przywołać Strony. (siadaia ka-
żdy na swoim mieyscu)

O2

WO-

WOŻNY.

Przysiępuycie strony do Dekretu! (*bierze miecz i podnosi go*) Poczuwający się do występku niech klęka, i słucha wyroku sprawiedliwości! (*Gierycht klęka upokorzony.*)

MURER.
O Boże! cóż to będzie? (*wszyscy potrożeni.*)

BARONOWA.
Boże chcey go ochronić.

DORAS.
Schoway ten Miecz (*Wożny kładzie Miecz w pochwy.*)

LOTARY.
Ach! oddycham przecię (*wszyscy okazuią ukontentowanie.*)

DORAS.
Chcę, żeby dzień dzisiejszy, jako początkowy mojej prawdziwey szczęśliwości, radośnie był skończonym. A ponieważ jest takie u nas Prawo, że z tey Sali jeden ukaranym wyjść powinien. Zatym przeznaczam, ażeby Pan Gierycht natychmiast jednego aresztanta osadzonego za długie wykupił.

KONSYLJARZE *powstają.*
Wiwat, barzo dobrze.

GIERYCHT *wstaje upokorzony.*
Prześwietne zgromadzenie, przyznaję,
iz

iz to iest kara dla mnie nadto lekka, wypełnić onę naysolenniey obowiązuję się, a jezeli Sąd na to pozwoli, to jeszcze za trzech innych długów popłacam.

D O R A S.

Do dobrej woli WPana będzie to należało. *(wszyscy idą na szrodek.)*

G I E R Y C H T.

WPan zaś Mości Albercie, zechceśz odemnie przyiąć ten Folwark, który mój Oyciec WPanu zatradował. Nie odmawiaj mi tey łaski, bardzo o to proszę. A teraz przysięgam w tym Świętym miescu, iż odtąd wcale inaczej żyć zacznę. O to tylko proszę, nie odmawiajcie mi swoiey przyiaźni, niech dzielę z wami to ukontentowanie, którego wy teraz doznacie.

D O R A S.

Mości Pulkowniku, Naymilsza Zono, i ty kochana Fani, ja wnoszę moią instancją za Panem Gierychtem, odpuście mu to, co przeciwko wam wykroczył... Ach! wy tego poiąć nie możecie, ile całe życie będąc cnotliwemi, jak występny powracając do cnoty, jest upokorzonym, ale mnie się o to pytacie.

MU.

Kochany Mężu, z moiey strony niech się stanie podług woli twoiey, wszystkie umartwienia nie wyrównaią mi tey rozkoszy, którą teraz doznaię, przez to znalezienie się niespodziane.

Koniec Drammy.



